

M. ROŚCISZEWSKI.

**B A J K I**  
**S Ł O W I A Ń S K I E**

z ilustracjami.

96  
411

NAKŁADEM  
KSIĘGARNI J. PRZEWORSKIEGO  
WARSZAWA.



# Książka udostępniona przez Wesołe Spacery po Warszawie

[www.WesoleSpacerypoWarszawie.pl](http://www.WesoleSpacerypoWarszawie.pl)

Na naszej stronie znajdziecie  
wiele darmowych książek  
związanych z  
historią.

Zapraszamy też  
na nasze spacery  
z przewodnikiem  
po Warszawie.



# 1. Bajki bośniackie.

## BRACIA BOHATEROWIE.

„Z bardzo dawnych czasów, kiedy po wielkich miastach nie było jeszcze takich porządków, jak dzisiaj, często szerzyły się różne zarazy i ludziom strasznie dawały we znaki. Zarazy te nazywano powietrzem i jak po dziś dzień, tak i dawniej modlono się: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie!“

Otóż przyszedł raz taki mór, taka bladolica choroba i do szczytu spustoszyła Mostar, stolicę Bośni i Hercegowiny, dwóch krajów słowiańskich, na półwyspie Bałkańskim.

Ze wszystkich mieszkańców Mostaru ocalała tylko jedna wdowa z dwoma synkami. Jeden miał na imię Chrysto, a drugi Dżuro. Wdowa nie mogła wyżywić sierót. Roboty niema, a chleb podrożał. Co tu począć? Myśli i myśli biedaczka, aż postanowiła nareszcie oddać Chrysta w służbę Cesarzowi, a Dżura sułtanowi.

Minęło lat dziewięć. Chłopcy wyrosli na silnych i urodziwych młodzieńców. Przez cały ten

czas nie widzieli się ani razu ze sobą. Sultán wy-  
dał wojnę cesarzowi. Na obszernej równinie zebrały  
się dwie armje nieprzyjacielskie i stoją naprzeciw  
siebie. Z armji cesarskiej wysuwa się dzielny, rosły  
jeździec, pędzi ku szeregom wroga i wyzywa ry-  
cerzy na pojedynek. Wyzwanie przyjmuje dziewię-  
ciu, ale jeden po drugim pada, krwią zbryzgany.  
Sultána zgroza przejmuje. Zginął sam kwiat jego  
wojska. Na dany rozkaz, heroldowie zaczynają ob-  
jeżdżać szeregi i wołają:

— Czy nie masz między wami rycerza, któ-  
rego wykarmiła matka—bohaterka? Jeśli jest silny  
z najsilniejszych, zuch nad zuchy, niech wyjdzie  
na bój za padyszacha, a padyszach t. j. sultán, na-  
grodzi go złotem i mianuje go bejem.

Słyszcy Dżuro wezwanie i staje w namiocie  
sultána. Sultán kochał Dżura jak syna.

— Czy to prawda, mój ojcie, że uczynisz  
bejem tego, kto pokona wroga? — zapytał Dżuro.

— Prawda, synu, odparł padyszach.

Dżuro siada na swego czarnego jak węgiel  
konia, podjeżdża do wojska nieprzyjaciół i wyzywa  
rycerza na pojedynek. Rycerz wyjeżdża; krzyżują  
się oszczepy i — pęknięte, spadają na ziemię. Ry-  
cerze chwytają dzidy i dzidy startłszy się ze sobą,  
rozlatują się w drzazgi. Do szabli — i szable pękają  
na połowę. Rycerze zeskakują z koni i biorą się  
za bary. Tarcze trzeszczą i łamią się, pióra hełmów  
fruwają w powietrzu... Bój trwa dzień cały. Żaden  
ani raniony, ani pokonany.

Wyczerpani z sił, rycerze siadają do wypoczynku.

— Powiedz mi szlachetny rycerzu, — rzecze Dżuro, — z jakiegoś ty kraju? Kto jest twoją matką? Jaki naród wydał takiego bohatera?

— Słyszałeś może, iż kilka lat temu mór bladolicy o węzowych ślepiach spustoszył Mostar, mój gród rodzinny. Ocalała jedynie moja matka z dwoma synkami. Nie miała nas czem wyżywić i oddała mnie...

— Chrysto, bracie mój! — zawołał rozradowany Dżuro i porwał brata w objęcia.

Wojsko z obu stron patrzy i dziwi się. Wrogowie, którzy walczyli tak zawzięcie, ściskają się nagle. Oto usiedli na zielonej murawie, otwierają flaszkę, piją wino, trącają się.

— Coż teraz pocniemy? — zapytuje Dżuro.

— Idź ty, bracie, do padyszacha, a ja pójdę do cesarza i poprosimy ich o zawarcie pokoju. Przecież dwaj bracia nie mogą podnosić ręki wzajem na siebie, choćby nawet na polu bitwy.

Idzie Dżuro do sułtana, Chrysto do cesarza, a zabiegi ich zostają uwieńczone skutkiem pomyślnym. Monarchowie zawarli pokój.

— Czemże wynagrodzimy braci—bohaterów?— zapytuje sułtan, wyciągając dłoń zgody do byłego wroga.

— Ty nagródź swego, jak uważasz, a ja — mianuję swego generałem, — odparł cesarz.



— Nie, nie należy rozłączać braci. Ja dam im ziemię, a ty daj pieniędzy.

I tak się stało. Chrysto i Dżuro otrzymali cały powiat na własność dziedziczną, udali się po matkę i zaczęli sobie żyć, jak u Pana Boga za piecem.

Od nich to bierze początek ród, który po dziś dzień zażywa szacunku w całej Bośni.

## IWO I ANICA.

Turcy zajęli stolicę bośniacką; zakłuli wartowników i uprowadzili dziatwę królewską.

Cudnego chłopca Iwa, odzianego w purpurę, odprowadzili do sułtana, złotowłosa Anicę — do sułtanki.

Oto już dziewięć lat, jak Iwo dręczy się w niewoli; Anica także tęskni, nie chce ani pić, ani tańcować.

— Córko moja, — ozwie się sułtanka, — dlaczegoś tak smutna? Może masz mało pereł i złota, a może brak ci materji jedwabnej do haftu?

— Nie brak mi ani pereł, ani złota, ani materji jedwabnej do haftu. Brak mi brata, mego cudnego Iwa, — odpowiada Anica.

— Wstań o świcie, okryj się welonem i idź na łąkę, tam znajdziesz Iwa.

Anica wstaje o świcie, okrywa się welonem i idzie na łąkę.

Iwo śpi na zielonej murawie. Blady, jak kora brzoza.

Anica pochyla się nad nim i roni łzy na jego czolo blade.

— Dzięki Ci, Boże, za rosę, którą mi zsyłasz dla odświeżenia, — szepcze chłopiec.

— To nie rosa, słodki mój lwo; to łzy twej biednej Anicy.

Lwo ocknął się i padł w objęcia siostry.

— Lwo, mój drogi, czemuś tak smutny?

— Za rodziną tęsknię. Sił mi już brakuje.

— Czy to nie twój koń stoi tam przy drzewie jak mleko biały? Uciekajmy drogi braciszku!

Mkną jak strzała brat z siostrą. Trzy dni jada, a trzy noce śpią w lesie na miękkim mchu.

O świcie dnia czwartego zbiegi ujrzeli nareszcie pola rodzinne. Trzystu żniwiarzy sprząta zboże. Nie słysząc pieśni... Żniwiarze wszyscy w żałobie...

Brat i siostra stają przerażeni.

— Czemużecie tacy smutni? Dlaczegoście w żałobie? Jakie nieszczęście dotknęło was, drodzy ziomkowie? — pytają żniwiarzy.

— Nie masz dla nas radości od chwili, gdy Turcy zajęli naszą stolicę i porwali śliczne dziatki króla, — czarnoookiego lwa i złotowłosą Anicę.

— Głodniśmy, — mówią młodzi podróżni, — nakarmcie nas, zacni żniwiarze, a wkrótce radość was odwiedzi.

— Oto pałac naszego króla. Zastukajcie do bramy, a spotka was gościnne przyjęcie.

Lwo podnosi srebrny młotek i stuka do bramy.

Bramę otwiera niewolnica w żałobie i wpuszcza jeźdźców.

Dziedziniec dworski zarósł trawą i chwastem. Na gołym kamieniu, przed drzwiami, siedzi królowa i gorzko płacze. Na wieży, przy oknie, król stoi. Włosy ma bielsze od śniegu z gór bośniackich; policzki mu wyschły i oczy zapadły...

Królowa patrzy na pięknych przybyszów i płacze jeszcze głośniej. Tak przypomnieli jej dzieci...

Niewolnica w żałobie prowadzi gości na górę, do wielkiej sali... Na ścianie wisi bandura, ozdobiona perłami. To bandura Iwa. Iwo ją poznaje.

Król schodzi z wieży na spotkanie gości.

— Tato! Mamo! — wołają królewicz i królewna, rzucają się w objęcia rodziców. Rodzice poznają nareszcie dzieci swoje.

Już królowa nie płacze i król nie wzdycha. Wszyscy weseli dokoła. Żniwiarze jak dawniej śpiewają pieśni.

## ŚMIERĆ GŁODOWA.

Wieść okropna o zbliżaniu się Turków zgrozą przejęła wieś całą.

Porzuciwszy domy, mieszkańcy uciekli w góry i gdzie kto mógł.

Przez trzy dni i trzy noce Marko Klucz i jego rodzina nic nie jedli. W gardle im zaschło i język zdrętwiał.

Ponury i milczący siedzi Marko na skale.



U stóp jego Milica, jego żona. Biedaczka — dogorywa. Z rozpaczą wpatrują się w nią dwaj synowie.

Cisza dokoła. Nie słychać strzałów. Kule oszczędziły nieszczęśliwych, lecz nie oszczędził ich głód.

Ciche tchnienie, istny powiew wiatru dobiega uszu Marka. Marko drgnął. To ostatnie tchnienie Milicy, jego żony.

W posępnej rozpaczycy siedzi Marko z głową, wspartą na dłoni. Syn jego Jowo odszedł na uboche, ażeby łyzy ukryć. Ale cóż Łazo drugi syn jego? Co się z nim stało?... Twarz mu zbladła, upadł na kolana... Chwieje się, jak trzcina, poruszana wiatrem... Konwulsyjną ręką szarpie odzież na pierśsiach.

Szybko podbiega doń Jowo. Wyrzywa chandżar, przecina sobie rękę i zbliża krwawiącą ranę do spieczonych ust brata...

Życie, co już uciec miało, znowu wstępuje w młodzieńca. Wstaje też i Marko.

— Krzepcie się, chłopcy, — powiada. — Idziem na wroga. Lepiej jest umrzeć na polu bitwy, niż za darmo paść tutaj.

Zwłókłszy się ostatnim wysiłkiem, wszyscy trzej wpadli na wroga i drogo sprzedali swe życie.

## Ż E B R A C Z K A.

Stara Bojana mieszka w odległej chacie bośniackiej i żyje z jałmużny. Otrzymaawszy datek mówi zazwyczaj:

— Effendi, to, coś uczynił dla ubogiego, toś uczynił dla siebie.

W sąsiedztwie mieszka bardzo bogaty Turek. Ma on żonę i dwóch synów.

Codziennie żebraczka chodzi do konaku tureckiego beja i po otrzymaniu datku, mruczy bez zmiany:

— Effendi, to, coś uczynił dla ubogiego, to uczyniłeś dla siebie.

Sprzyskrzyło się żonie beja słuchać ciągle jednego i tego samego.

— Kłamie stara, — myśli Turczynka; — wkrótce sama przekona się o tem.

Wzięła mąkę, ugniotła bułkę i wsypała do niej trucizny. Przyszła żebraczka, dostała bułkę i na odchodnem, powtórzyła, jak zwykle:

— Effendi, to, coś uczynił dla ubogiego, to uczyniłeś dla siebie.

Tegoż samego dnia bej z synami udał się na polowanie. Skwar był wielki, chłopcy się pomęczyli, a spostrzegłszy Bojanę przed drzwiami chaty, zapragnęli u niej wypocząć.

Biedna staruszka, nie spodziewając się takiego zaszczytu, rozplakała się z radości.

— O, złote moje dziatki, o, śliczne królewnice, — mówiła, — wypocznijcie sobie w chacie starej Bojany, a chata jej w pałac się zamieni.

Wpuściwszy chłopców, staruszka przyniosła świeżej wody źródlanej i z szafy wyjęła bułkę otrzymaną zrana.

— To upiekła wasza mamusia, — rzekła z dumą, — jedzcie, jasne gwiazdeczki moje!

Dzieci chciwie zabrały się do bułki i nasycone wróciły do domu.

Tegoż dnia chwyciły ich straszne kurcze i obaj chłopcy umarli.

Zrozpaczony ojciec posłał po żebraczkę.

— Czem nakarmiłaś moich synów? — zapytał gniewnie.

Bojana popatrzyła nań zdziwionemi oczyma. Wszak dzieci spożyły chleb, upieczony przez ich matkę, czyliż więc mogły zachorować z tego?

I gorzko jąta opłakiwać zmarłych chłopców.

Ale matka zrozumiała wszystko... Zdjęta zgrozą przypomniła sobie słowa żebraczki:

— Coś uczynił dla ubogiego, to uczyniłeś dla siebie!

## Z Ł E O K O.

Milicz skończył lat dwadzieścia. Jest piękny i mężny. Matka zowie go „światłem swoich oczu“. Milicz postanowił się ożenić. Jeździ tu i ówdzie, widzi mnóstwo ładnych dziewcząt, ale na swoją trafić nie może. Milicz umie cenić siebie i jest bardzo wymagający.

Milicz ma pobratyma młodego Wuka. Zamienili się krzyżykami i są braćmi na całe życie. Takie związki często zawierane bywają u Słowian Południowych pomiędzy młodymi ludźmi. Nawet





chłopiec i dziewczyna wiążą się w ten sposób. On wtedy staje się pobratymem, ona — posiostrzymą. Toż samo, co brat i siostra; ale się pobrać nigdy nie mogą.

Wszak wie, że Milicz chce się ożenić; wie także, że dotąd nie trafił na swoją. I mówi do Milicza:

— Zobacz moją posiostrzymą Leposawę. Jeżeli i ona nie przypadnie ci do gustu, to znaczy, że nigdy się już nie ożenisz. Łagodna, pracowita, wesola jak jaskółka i w dodatku — córka bogatego ojca. Taka jest Leposawa. Jedź, bracie, do Bożydara Nowaka i staraj się o rękę jego córki.

Milicz chętnie rad ujrzeć Leposawę, ale nie tak to łatwo. Dziewczęta bośniackie pracują w polu narówni z mężczyznami, ale nie śmia rozmawiać z nimi. Tylko na Boże Narodzenie, na Wielkanoc i w święto „Sławy“ na cześć patrona wioski, młodzież może zamienić ze sobą słów kilka. Wtedy to właśnie zawiązują się znajomości i urządzają wesela.

Raniutko, ledwie że świt spłonął, Milicz siada na konia i jedzie za góry do Kołaszyma, gdzie świętują „Sławę“. W jaskrawych świątecznych strojach dziewczęta schodzą z gór okolicznych. Po nabożeństwie, zbierają się na placu przed kościołem i tańczą swoje wdzięczne „koło“. Jedna drugiej kładzie prawą rękę na ramieniu, a ujawszy się lewą pod boki, wiją się jak długa, różnobarwna wstęga, poczem zamykają koło.

— Oto Leposawa, — mówi Wuk do Milicza, wskazując na dziewczynę, ładniejszą od innych.

Milicz już ją spostrzegł, ale w czasie tańca nie może zbliżyć się do niej. Otóż i taniec się skończył.

Wstydlive dziewczę chowa się za węglem, Milicz podnosi ręce nad głowę, szerokie rękawy koszuli spadają mu i zasłaniają Leposawę jak firanką.

Milicz wraca do domu i mówi do ojca i matki:

— Matko, znalazłem ci pomocnicę, a tobie, ojcze, sługę. Dla was, bracia i siostry, dobrą siostrą. Jest to córka Bożydara Nowaka, Leposawa.

Milicz zbiera swatów i druchny, ubiera się jak najładniej i jedzie w konkury. Wuk, pobratym, prowadzi orszak ze sztandarem na czele. Jest chorążym. Wszyscy odziani odświętnie; konie i siodła ubrane są w kwiaty i wstęgi. Cały deszcz wstążek spada z szyjki butelki z wódką, którą starszy swat trzyma w ręku.

Przy spotkaniu weselnego orszaku, przechodnie witają przejeżdżających.

— Sława zwiastunom wesela!

— Szczęśliwej drogi!

— Niech nasze wrogi pogań!

Swat nalewa każdemu po kieliszku wódki i orszak jedzie dalej.

Jadą dzień, jadą dwa, aż dojeżdżają nareszcie do mieszkania Nowaka. Starzec siedzi na ławeczce pod drzewem orzechowem i wita gości.

— Dokąd leci błękitno-skrzydły orzeł, gdzie szuka gołąbki?

— Gołąbka, której szukamy, jest tu, pod twoim dachem; to twoja córka, Leposawa. Przywieźliśmy za nią bogaty okup, Milicza.

— Oby cię Bóg błogosławił, mój synu, — mówi starzec. — Słońce, które mnie świeciło dotąd, niech tobie świeci teraz. Otwierajcie wrota, przepuszczajcie kochanych gości, — zwrócił się Nowak do swej czeladzi. — Nakrywajcie stoły, podawajcie gościom co jest najlepszego, a koniom starego jęczmienia.

Trzy dni trwała uczta w domu Nowaka; czwartego dnia przyprowadzili Leposawę do narzeczonego. Matka Leposawy stała w kącie i płakała.

— Czemu płaczesz, droga mateczko, — pyta ją Milicz. — Małoć dobra u ojca mego, a mozem ja ci nie miły?

— Dość dobra u ojca twego i sameś mnie miły. Ale niedobrze czuje serce moje. Oczarowanym jest dom nasz nieszczęsny; złe oko rzuciło nań urok. Dziewięć takich białośnieżnych gołąbek miałam ja przecie; ośm wydałam zamaż, a żadna nie dojechała żywa do domu.

— Bądź spokojna, mateczko. Będę strzegł twojej białej gołąbki, jak żrenicy w oku.

Matka przestała płakać, a Leposawa zaczęła rozdawać gościom podarunki: narzeczonemu — koszulę, wyszywaną złotem i jedwabiem, jego ojcu — płaszcz, swatom i druchnom — chusteczki.



Leposawa siada na konia jak śnieg białego; Milicz—na konia, jak węgiel czarnego. Pod siodłami czapraki z czerwonego aksamitu, zdobne złotym sztychem i chwastami. Czarne kędziory Milicza pokrywa czapeczka z kilku brylantów, na których igra promień słoneczny. Z główki Leposawy spływa jedwabna zasłona, obszyta złotem. Piękniejszej pary nie widziano w Bośni.

Z muzyką i śpiewem pochód wyrusza do domu pana młodego. Milicz jedzie na czele. Zdaje mu się, że kroczy do raju. Za nim podąża Leposawa pod opieką swego pobratyma Wuka. Nagle wydaje okrzyk i blednie.

— O, Wuko, mój pobratymie. Oczy mi mgłą zasłyły, członki sztywnieją, nie mogę dłużej utrzymać się na siodle. Zdejm mnie z konia i złoż na miękkiej trawie pod sosnami. Słońce mnie już nie lubi, ziemia woła mnie do siebie.

— Stójcie, bracia! — zawoła Wuk, — przerwijcie muzykę i śpiewy. Mojej posiostrzymie źle się zrobiło. Słońce już jej nie lubi, ziemia woła ją do siebie!

Przypada Milicz, zdejmuje z konia swą piękną narzeczoną i składa ją na miękkiej trawie. Leposawa westchnęła i dusza jej odbiegła.

Drużbowie zeskoczyli z koni, chandżarami, krzywymi nożami, wykopali grób i złożyli w nim Leposawę, twarzą do wschodu. W głowach zasadzili krzak róży, w nogach odkopali źródło, mogiłę zarzucili dukatami „Niech ubogi zabierze złoto, młódzieź niechaj się w kwiaty ustroi, a kto zmęczony

podróżą, niech się ze źródła napije, niechaj wypocznie na murawie pod sosną.

Pożegnał się Milicz z towarzyszami i zadawszy koniowi ostrogi pocwałował do domu. Już zdaleka ujrzała go matka i wyszła na jego spotkanie.

— Złoty mój synu, światło oczu moich, gdzież twoja pani, dla mnie pomocnica, sługa dla ojca, a miła siostra dla braci i sióstr twoich? Któż wody przyniesie, kto stół nakryje, ażeby zmęczone ręce starej matki wypocząć mogły?

— Nie mam narzeczonej ni pani, nie masz i ty pomocnicy, droga matko. Leży moja Leposawa w ziemi wilgotnej, w lesie pod sosną. Pościel i mnie łoże rodzicielko, iżbym także mógł spocząć i zamknąć znużone powieki.

Milicz położył się i zasnął na zawsze.

Co rano, gdy wstaje słoneczko rumiane, matka Milicza wychodzi na drogę i mówi z radosnym uśmiechem:

— Oto synowa moja, Leposawa, idzie do źródła po wodę.

Gdy księżyc wschodzi, stara patrzy nań i mówi:

— Oto Milicz, światło oczu moich, wybiera się na polowanie. Toż to się zwierzem obłowi!

Ale nie masz Milicza ani Leposawy; jest tylko ich obłąkana matka!

---

## 2. Bajki bułgarskie.

### TCHÓRZLIWY DJABEL.

Pewien chłop miał bardzo złą żonę. Czego tylko zapragnął, baba musiała mu się zawsze sprzeciwić.

Ale chłop umiał się zdobyć na podstęp. Wychodząc w pole mówił do żony:

— Nie trudź się kochanko, z przynoszeniem mi obiadu, — jakoś mi się jeść nie chce.

I żona punkt o dwunastej zjawiała się z obiadem.

Jednego razu chłop kopał studnię, a na czas obiadu przykrył jamę chrustem, ażeby żona w nią nie wpadła. Na nieszczęście, zapomniał, że do baby trzeba mówić zawsze naopak.

— Nie zbliżaj się do studni, — uprzedził żonę, — bo studnia bardzo głęboka.

Wystarczyło to, ażeby żona wpadła na chrust. Oczywiście znalazła się zaraz na dnie dołu.

Żał się chłopu zrobiło baby i rozplakał się. Ale zważywszy, że łzami żonie nie pomoże, wziął długi sznur i spuścił go do studni. W tej chwili



uczuł, że ktoś za sznur pochwycił i zaczął też ciągnąć do góry. Jakież było jego zdziwienie, gdy zamiast żony, ukazała się ze studni rogata głowa biesa.

— Czekaj, wysłuchaj mnie, a zlitujesz się z pewnością,— jął błagać bies, spostrzegłszy, że chłop chce sznur wypuścić. — Było nas w tej jamie siedmioro djabłów; żyliśmy sobie spokojnie; nagle zwała się do nas kobieta, taka zła, że moi koledzy pouciekali. Ale ja, na nieszczęście, jestem kulawy i uciec nie mogę. Zato, spójrz, przez jedną godzinę osiwałem jak gołąb.

— Nie bój się potrafię ja ci się wywdzięczyć za tę przysługę,— ciągnął djabeł — mam tu laseczkę czarnoksięską. Ja się osiedlę w córce sułtana, a ty uderz ją tą laseczką i ja z niej wyjdę. Sułtan cię ozłoci i będziesz mnie pamiętał na wieki.

Chłop tak się ucieszył z laski czarnoksięskiej, że i o żonie zapomniał.

Niebawem wieść się rozeszła, że córka sułtana ma w sobie djabła i że nikt nie może jej pomóc.

Zjawił się chłop, dotknął księżniczkę laseczką czarnoksięską i djabeł z niej wystąpił. Uradowany sułtan hojnie wynagrodził zbawcę.

Po niejakiem czasie zaczęto mówić, że córkę jakiegoś króla djabeł opętał. Chłop zgłosił się na dwór króla, ale tym razem laseczka nie przyniosła mu szczęścia. Przekonawszy się, że laseczka nie

ma już siły, chłop się zamyślił. Potem, mrugnawszy przebiegle, rzekł do króla:

— Niech Wasza Królewska Mość każe strzelać z armat.

— A to ci na co przyszło do głowy, — drwiąco zapytał go djabeł. — Może sądzisz, że ja się armaty zleknię?

— E, cóż znowu. Nie, widzisz, tylko dziś moja żona tu będzie, więc chcę ją spotkać z honorami.

Zaledwie djabeł usłyszał nowinę, w tej chwili jednym susem wyskoczył z królowny i drapnął, gdzie pieprz rośnie.

## WIELKI WEZYR

Stojan miał dużo pieniędzy, ale wcale się niemi nie cieszył. Jedyne jego syn był chłopcem złym i występny.

— Biada mi, biada, nigdy nie wyjdiesz na człowieka porządnego, — mawiał Stojan nieraz do syna.

Młody Tomasz był piękny, dowcipny i przebiegły. Dostał się na dwór sułtana i tak się umiał postawić, że sułtan mianował go swoim wezyrem (ministrem).

Tomasz urósł w pychę i posłał niewolników do ojca z rozkazem, ażeby Stojan natychmiast przybył na dwór wielkiego wezyra.

Stojan mieszkał daleko, o dziewięć dni drogi od Konstantynopola.

— Czego on może chcieć odemnie? — zapytał starzec.

— Czego chce to chce, a słuchać trzeba, — odpowiedziano mu.

Przyjechał Stojan do Konstantynopola, udał się do wezyra i teraz dopiero dowiedział się, że wezyr był jego synem.

— Dlaczegoż zakłóciłeś mi spokój! Jestem stary i słaby, — rzekł Stojan.

— Jestem wielkim wezyrem, — odparł syn.

— Niech ci Bóg da szczęście!

— No i cóż ojciec, pamiętasz, mówiłeś, że nigdy nie będę porządnym człowiekiem; a przecież jestem wezyrem.

— Jesteś wezyrem, to prawda, ale ja nigdy nie mówił, że nim nie będziesz. A co do reszty, to jak widzisz, miałem słuszność. Porządny człowiek nie fatygowałby starego ojca, lecz sam pojechałby do niego.

## KOŁO MŁYŃSKIE

Urosz jest zręcznym strzelcem. Ani zwierzę, ani ptak, nic nie ukryje się przed nim.

Pewnego razu wziął strzelbę, zatknął chandzar za pas z pistoletami i udał się w góry.

Niebawem przyszedł na brzeg wielkiego jeziora i zobaczył na falach dziwne zwierzę. Zaledwie zwierzę podплыnęło do brzegu — paf! Zabite.



Pfuj, zielony koń! — z pogardą zawołał Urosz i odwróciwszy się, odszedł.

— Źleś uczynił, wzgardziwszy łupem, — dało się słyszeć z góry — wracaj co żywo i zdejm uzdę z zielonego konia; to uzda zaczarowana.

Urosz spojrział do góry i zobaczył wilę (czarownicę), stojącą na skale.

Wróciwszy do zielonego konia, Urosz zdjął uzdę i poszedł dalej. Spotyka jagnię.

— Zamień się w woła! — rzekł Urosz, uderzając jagnię uzdą i zaklęcie odniosło skutek. Urosz sprzedał wołu i pieniądze schował.

Spotyka krowę.

— Bądź rumakiem — i powtórzyło się to samo.

W ten sposób, cokolwiek spotkał, zamieniał na co tylko chciał. Powrócił do domu z pełnym workiem. Żona zaczęła go pytać, skąd ma tyle pieniędzy, on zaś otwarcie wyznał jej całą prawdę.

W nocy, gdy myśliwy usnął, żona dotknęła go uzdą, mówiąc:

— Dotąd ja ci służyłam, a teraz ty mnie posłuż. Stań się psem podwórzowym.

I myśliwy zamienił się w psa. Żona sprzedała psa pastuchowi dworskiemu i pies musiał pilnować królewskiego stada.

Król był bardzo nieszczęśliwy. Wila zrabowała mu wszystkie dzieci. Dowiedziawszy się, że pastuch ma pięknego psa, król kazał go przyprowadzić na zamek i powierzył mu opiekę nad swoim nowona-

rodzonym synem. Urosz tak dobrze opiekował się małym księciem, że wili nie udało go się porwać. Uradowany król obdarzył wiernego psa orderem.

Uroszowi strasznie się zachciało pokazać order swojej żonie. A nóż się zlituje i przywróci mu dawną postać, — pomyślał sobie.

Żona, zobaczywszy psa z orderem, rozśmiała się i powzięła myśl splatania mu nowego figla.

— Byłeś dużym psem, — rzekła, uderzając go uzdą, — bądź, że teraz małym.

Marny był żywot małego pieska. Nikt go nie karmił, a każdy starał się go kopnąć nogą. Głodny i zmęczony, biedny piesek krążył dookoła swego starego domu. Zobaczyła go żona i rozgniewała się.

— Czego się tu kręcisz, szkaradny psiaku. Masz, zato, — rzekła, uderzając go uzdą, — stań się ziębą.

Ani się domyślała zła niewiasta, że sobie sama nawarzyła piwa. Zięba machnęła skrzydełkami i sfrunęła na drzewo, akurat nawprost okien swego domu. Zobaczywszy, że żona wyszła, ptak wpadł do okna, pochwycił dziobem uzdę i wymówiwszy myślą pragnienie stania się znowu człowiekiem, otrzymał swoją dawną postać.

Wróciła żona. Ujrawszy męża, strasznie się przeleżała.

— Złą jesteś kobietą, — zawołał Urosz, — masz zato! — Co mówiąc uderzył ją uzdą.

— Bądź szkapą i przez całe życie obracaj koło młyńskie.

## ZŁOTE JABŁKA I DZIEWIEĆ PAWIC.

Żył sobie król z trzema synami. Na dworze królewskim rosła złota jabłoń, na której co nocy rodziły się kwiaty i dojrzewały owoce. Ale ktoś nieznacznie zrywał je, a król nie mógł pochwycić szkodnika.

Pewnego razu zawezwał synów i rzecze.

— Nie wiem, gdzie mi się podziewają jabłka.

— Stanę dziś na straży i zobaczę, kto je zrywa, — oświadczył syn najstarszy.

Gdy się ściemniło, poszedł i usiadł pod jabłonią. Zaledwie jednak jabłka dojrzewać zaczęły, królewicz zasnął; a o świcie jabłka były już zerwane.

Przyszła kolej na najmłodszego brata. Poszedł wieczorem pod jabłoń i wnet usnął. Ale zbudził się około północy, w tej samej chwili, gdy jabłka dojrzewały. Jasność biła od nich taka, jako w dzień. Przyleciało dziewięć pawic. Ośm siadło na jabłoni, a dziewiąta zbliżyła się do królewicza i zamieniła się w dziewczę nieopisanej urody. Porozmawiała z nim dłuższą chwilę bardzo życzliwie i przed odejściem dała mu dwa jabłka, jedno dla niego, drugie dla ojca. Potem zamieniona znowu w pawicę, odrunęła z pozostałemi ośmioma.

Ojciec ucieszył się bardzo, otrzymawszy jabłko i nie mógł się dość nachwalić najmłodszego syna.

W ciągu kilku nocy królewicz chodził pod jabłoń i przynosił ojcu jabłuszko. Sprzykrzyło się to jego braciom. Ani jeden, ani drugi nie potrafił



ustrzec jabłek, a najmłodszy co noc zaodywa po jabłku. I bracia postanowili dociec, jak on to robi. W tym celu kazali jednej starej i doświadczonej czarownicy, ażeby go wyśledziła.

Wieczorem stara ukryła się za jabłonią.

Około północy, gdy jabłka zaczęły dojrzewać, królewicz obudził się, jak zwykle. Znowu przyleciało dziewięć pawic. Ośm usiadło na jabłoni, a dziewiąta sfrunęła do królewicza i zamieniła się w dziewczę cudnej urody. Jej wspaniałe włosy sięgały do ziemi. Jędza podkraǳła się i część ich odcięła.

Dziewczę zlekło się, przybrało znowu postać pawicy i uciekło z pozostałemi ośmioma.

— Co się stało? — zawołał królewicz, a spostrzegłszy czarownicę, pochwycił ją i oddał sądowi, żeby ją ukarał.

Odtąd pawice już nie przylatywały. Królewicz roztesknił się i postanowił pojechać w świat na poszukiwanie swojej pawicy-panny. Wziąwszy ze sobą tylko jednego sługę, puścił się w drogę.

Długo podróżował królewicz. Nakoniec przyjechał do jeziora, pośród którego, na wyspie stał wspaniały pałac. W tym pałacu mieszkała królowa z córką.

Królewicz zwrócił się do królowej z zapytaniem, czy nie wie czego o dziewięciu pawicach. Królowa odpowiedziała, że wie. Pawice te przylatywały codziennie kąpać się w jeziorze. I zaczęła namawiać królewicza, ażeby zaprzestał poszukiwania

pawicy, lecz ażeby natychmiast ożenił się z jej córką.

— Moja córka jest także piękna, — mówiła, — a jam bogata. Cały mój olbrzymi majątek tobie się dostanie.

Ale królewicz ani chciał słuchać o córce królowej i kazał swemu pachołkowi przygotować sobie konia, skoro świt, dla udania się na jezioro.

Królowa podkupiła pachołka i dała mu miech służący do rozdmuchiwania ognia.

— Oto, — mówi, — miech. Gdy przyjdzie czas przylotu pawic, dmuchnij królewiczowi leciutko w głowę, a zaśnie i nie zobaczy pawicy.

Niewierny sługa tak też i zrobił. Pawice przyleciały, a królewicz spał jak kamień. Ośm sfrunęło na jezioro, a dziewiąta — królewiczowi na siodło.

— Obudź się, ptaszku mój, gołąbku, koteczku.

Ale królewicz nic nie słyszał. Spał snem umarłego.

Gdy pawice się wykapały i odfrunęły, królewicz się ocknął.

— I cóż, były? — zapytał pachołka.

— Były, miłościwy paniczu. Ośm sfrunęło na jezioro, a dziewiąta przysiadła się do panicza na siodło. Budziła, budziła, ale się nie dobudziła.

Usłyszawszy to, królewicz wpadł w rozpacz.

Nazajutrz stało się to samo. Daremnie usiłując go obudzić, pawica zwróciła się do pachołka i rzekła:

— Powiedz swojemu panu, że jeśli i jutro

spać będzie przy mnie, to mnie już nigdy nie zobaczy.

Gdy pawice odleciały, królewicz obudził się i zapytał pachołka, czy były. Sługa odparł, że były i dodał to, co mu powiedziała pawica. Królewicz wstrząsł się całym ciałem i spuścił głowę.

Trzeciego ranka, królewicz, podjechawszy do jeziora, ażeby się nie poddać drzemce, jął jeździć tam i zpowrotem. Ale sługa — zdrajca, upatrzawszy chwilę, dmuchnął nań i królewicz w tej samej chwili zasnął.

Przyleciało dziewięć pawic; ośm na jezioro, a dziewiąta na konia do królewicza. Nie dobudziwszy go się, zwróciła się do pachołka.

— Gdy się twój pan obudzi, powiedz mu, że mu tak trudno będzie dostać się do mnie, jak robakowi do szczytu góry.

Gdy się królewicz obudził i usłyszał sprawozdanie sługi, tak się rozgniewał, że wyrwał szablę i odciął pachołkowi głowę. Potem pojechał gdzie go oczy poniosą. Jechał długo, przyjechał do ciemnego lasu i pod noc znalazł się przed chatą pustelnika.

— Staruszk, nie słyszałeś też o złotych pawicach?

— Masz szczęście, syneczku, żeś trafił na moją chatę, — odparł pustelnik. — Stąd do nich nie więcej jak pół dnia drogi.

I objaśnił szczegółowo królewiczowi, tak ma



się dostać do miejsca, w którym znajduje się zamek pawic.

Gdy królewicz dojechał do zamku i wymienił portjerowi swoje imię, wybiegła na jego spotkanie pawica-dziewczę i wzięwszy go za rękę, poprowadziła na górę. Toż była radość! Po upływie kilku dni wyprawiono sute wesele!

Pewnego razu królowna wyszła na przechadzkę, a królewicz pozostał w domu. Na odchodnym królowna wręczyła mężowi klucze od dwunastu piwnic, ostrzegając go, że może zwiedzać wszystkie piwnice, z wyjątkiem dwunastej.

Gdy królowna wyszła, królewicz jął otwierać piwnice jedną po drugiej. Doszedł do dwunastej.

— Coby tam być mogło? — pomyślał, a nie mogąc przezwyciężyć ciekawości, otworzył ją i wszedł do środka.

Pośrodku piwnicy stała wielka beczka, okuta żelaznemi obręczami.

— Bądź miłosierny, bracie mój, daj mi wody, umieram z pragnienia, — dało się słyszeć z beczki.

Królewicz zaczerpnął kubel wody i wlał go do beczki. W tej chwili jedna obręcz pękła.

— Błagam cię, daj mi jeszcze kubelek, konam z pragnienia.

Królewicz zaczerpnął jeszcze kubel i wlał go do beczki. Pękła druga obręcz.

— Jeszcze, — na litość! — dało się słyszeć z beczki.

Zaledwie jednak królewicz zdążył wlać trzeci

kubel, gdy ostatnia obręcz pękła, beczka się rozpadła i wyskoczył z niej smok. Dogoniwszy królową porwał ją i uciekł.

Przybiegli słudzy i donieśli królewiczowi o tem, co zaszło. W rozpaczy, królewicz rzucił się na poszukiwanie.

W trakcie poszukiwań trafił na kałużę, pozostałą po wylewie rzeki. W kałuży szastała się rybka i nie mogła żadną miarą wydostać się do rzeki.

— Królewiczu, błagam cię, — mówiła rybka, — zlituj się nademną i wpuść mnie do rzeki, a ja ci się zato odwdzięczę. Weź ze mnie łuskę, a gdy czego będziesz potrzebował, potrzyj ją między palcami.

Królewicz wypuścił rybkę do rzeki, a łuskę zawiązał w chustkę.

Później natknął się na lisa, który złapał się w sidła.

— Zmiłuj się, królewiczu, — jął błagać lis, — zwolnij mnie z sidła, a ja ci się odwdzięczę. Wyrwij mi kilka włosów z grzbietu, a gdy ci się czego zachce, potrzyj je między palcami.

Królewicz schował sierść lisią i poszedł dalej. Szedł, szedł, aż przyszedł do lasu. Tu spostrzega wronę, która także złapała się w sidła.

— Proszę cię, — zakrakała wrona, — bądź mi bratem, przechodniu, uwolnij mnie z sideł, a ja ci się odwdzięczę. Wyrwij mi piórko ze skrzydła, a gdy ci się czego zachce, trzyj je pomiędzy palcami.

Królewicz schował skrzydełko i poszedł dalej.

Długo podróżował królewicz, w poszukiwaniu swojej królowny. Pewnego razu spotkał człowieka i pyta go:

— Nie wiesz czasami, mój bracie, gdzie mieszka król smoków?

Człowiek wskazał mu drogę i powiedział mu, o której porze można króla smoków zastać w domu.

Królewicz poszedł wskazaną drogą, znalazł pałac smoczego króla, a w nim swoją najdroższą żoneczkę. Małżonkowie ucieszyli się sobą ogromnie i jęli obmyślać, w jaki sposób dałoby się uwolnić ją z niewoli.

Pogadali, potem usiedli na konia i uciekli.

Wrócił smok, a zobaczywszy, iż królowny nie ma, ozwał się do swego konia:

— Co począć, jeść, pić, czy gonić zbiegów?

— Jedz, pij i bądź spokojny, — odparł koń.

Najadłszy się smok wsiadł na konia i w moment dogonił zbiegów. Odebrawszy królownę, rzekł do królewicza:

— Idź z Bogiem! Uwalniam cię, boś mnie napoił, ale pamiętaj, żebyś mi się drugi raz nie naprzykrzał, jeżeli ci życie miłe.

Przejechał królewicz czas niejakiś, aż smutek go ogarnął. Zawrócił tedy znowu do pałacu smoka. Siedzi królowna przy oknie i płacze.

I znowu zaczęli się zastanawiać i radzić, jakby ją uwolnić ze smoczey niewoli.

— Postaraj się wymóc na nim, ażeby ci powiedział skąd dostał swego bystronogiego konia.



Dostanę takiego samego i uciekniemy, — rzekł królewicz i śpiesznie ukrył się, ażeby go smok nie spostrzegł.

Gdy smok wrócił, królowna jął mu dogadzać na wszelkie sposoby i wypytywać.

— Ale też masz konia! Gdzieżeś dostał takiego sokoła?

— Gdziem jego dostał, tam się drugiemu dostać go nie uda, — odparł smok. — Na wielkiej górze mieszka czarownica. Ma ona w stajni 12 rumaków, jeden lepszy od drugiego. A w kątku stoi sobie trzynasty, chudy, zapuszczony. Ten to obrośnięty rumak zaćmi wszystkie inne; może skoczyć do samego nieba. Jest to brat mojego konia. Dla zdobycia tego konia, trzeba służyć jędzy przez trzy dni i trzy noce i pilnować jej koni. Kto je upilnuje, może sobie wybrać, którego zechce, a nie upilnuje to życie traci.

Nazajutrz, gdy smok odleciał, przyszedł królewicz i królowna opowiedziała mu, co usłyszała.

Nie tracąc czasu, królewicz poszedł szukać tej góry, na której żyła czarownica. Odnalazłszy dom jędzy, powitał ją w te słowa:

— Dzień dobry, babuniu.

— Dzień dobry, synku, a pociąg przyszedł?

— Chciałbym ci posłużyć.

— Dobrze, synku. Mam niesforną kobyłę ze zrebakiem. Jeżeli ją przypilnujesz przez trzy dni i trzy noce, to weźmiesz sobie konia, jakiego zech-





cesz z dwunastu, jeżeli nie przypilnujesz to zetnę ci głowę.

Zaprowadziła go stara na dziedziniec, ogrodzony płotem z pali drewnianych. Na każdym palu sterczała głowa ludzka, na jednym tylko nic nie było. I pal ten jęczał nieustannie.

— Daj mnie wiedźmo ludzką głowę.

— Widzisz, — mówiła stara, — wszyscy oni najmowali się tu do koni, a upilnować ich nie mogli.

Ale królewicz nie zląkł się. Wsiadł na kobyłę i pocwałował z góry na dół. Żrebak cwałował obok. Trwało to do północy. Około północy znużył królewicza sen i zasnął. Ocknąwszy się zrana, spostrzegł, że siedzi na kłodzie z uzdeczką w rękę.

Przerażony, królewicz zerwał się i pobiegł szukać klaczy. Przybiegł do rzeki i wtedy dopiero przypomniał sobie o rybce. Wyjawszy z chustki łuskę, potarł ją między palcami. W tej samej chwili wypłynęła rybka na powierzchnię i pyta:

— Czego żadasz, pobratymie drogi?

— Uciekła mi klacz wiedźmy i nie wiem, gdzie jej szukać.

— Jest pomiędzy nami; zamieniła się w rybę, a żrebak w rybkę. Uderz po wodzie uzdeczką i rzeknij: „Do mnie, do mnie, kobyło czarownicy!”

Królewicz tak zrobił. Uderzył uzdą po wodzie, a gdy powiedział: „Do mnie, do mnie, kobyło czarownicy!” wyskoczyły dwie rybki i zamieniły się w kobyłę ze żrebakiem. Królewicz założył uzdę kobyle, wsiadł na nią i przyjechał do wiedźmy.



Stara dała mu jeść a kobyłę postawiła w stajni i jęła jej uragać:

— Dlaczegoś się nie schowała pomiędzy rybami, niegodziwa!

— Schowałam się, ale mnie wydały. On ma tam przyjaciół, — odparła klacz.

— To ukryj się pomiędzy lisami.

Wieczorem królewicz wsiadł na kobyłę i pojechał na pastwisko, żrebak biegł z tyłu. Około północy królewicz usnął i obudził się na kłodzie z uzdą w ręku. Zrywa się, szuka kobyły, ale jak kamień w wodę!

Wtedy przypomniał sobie o sierści lisa i wydostawszy z chustki, potarł między palcami.

— Czego żadasz, pobratymie? — zapytał lis, stając przed nim.

— Uciekła mi kobyła więdźmy.

— Jest między nami. Zamieniła się w lisa, a żrebak w liska. Uderz uzdą o ziemię i rzeknij: „Do mnie, do mnie, kobyło więdźmy!”

Królewicz zrobił to wszystko i klacz stanęła przed nim.

Wróciwszy, dostał obiad, a kobyłę stara zaprowadziła do stajni, złorzeczając po drodze.

— Mówiłam ci, nędznico, ażebyś się ukryła między lisami.

— Ukryłam się, ale mnie wydały; on tam ma przyjaciół.

— Dziś ukryj się pomiędzy wronami.

Wieczorem królewicz znów pojechał na past-

wisko, a gdy mu klacz zginęła, przypomniał sobie o skrzydełku wroniem, a gdy je potarł między palcami, zjawiła się wrona i kazała mu machnąć uzdeczką w powietrzu i klacz przywołać. Tak się też stało. Za powrotem do wiedzmy, krzyknął królewicz.

— Ej, stara, wierniem ci służył, dawaj to, coś obiecała.

— Com obiecała, to dam: oto 12 koni. Wybieraj.

— Nie chcę cię krzywdzić. O daj mi tego, co stoi w kącie. Dla mnie i ten będzie dobry.

Wiedźma zaczęła się wymawiać. A na co ci,— mówi — taki łachman.

Bierz lepiej jednego z tych dwunastu pięknych i rośłych ogierów; ale królewicz uparł się i wiedźma musiała ustąpić.

— Bądź zdrowa, babuniu, — rzekł królewicz, — siadając na swego kosmatego człapaka.

— Bądź zdrow, synku.

Dojechawszy do lasu, królewicz jął swego konika rozczesywać i muskać. Koń stał się gładki i błyszczący, jak złoto. Gdy królewicz wsiadł nań, rumak wzbił się, jak sokół i w mig doniósł go do pałacu smoka. Królowna wyszła, usiadła przed królewiczem i pomknęli oboje.

Wraca smok i widzi, że królowna czmychnęła, pyta więc swego konia:

— Co począć, jeść, pić, czy gonić zbiegłych?

— Jedz, nie jedz, pij nie pij, goń nie goń, — wszystko jedno, już ich nie dogonisz, — odparł koń.

Smok nie posłuchał konia i pomknął za zbiegami. Królewicz i królowna, ujrzawszy pogoń, zlekli się okropnie i jęli błagać swego konia, ażeby biegł prędzej.

— Nie mamy się co śpieszyć, bądźcie spokojni, — odparł koń.

Smok był już tuż tuż przy zbiegach. Słysząc było tętent sępiego konia, wkrótce i głos jego:

— Braciszku, przez litość, poczekaj. Sił mi braknie biec za tobą.

— Ale też głupiec z ciebie, że dźwigasz taką gadzinę na sobie, — odparł koń królewicza. — Fajtniej dobrze, zrzucić go ze siebie i popędzimy razem.

Koń sępi schylił łeb, wierzgnął zadniemi nogami, a smok — bęc na kamień i rozpadł się na setki kawałków. Na jego konia przesiadła się królowna i małżonkowie szczęśliwie dojechali do swego państwa i tam panowali pomyślnie aż do samej śmierci.

---



### 3. Bajka chorwacka.

#### CUDOWNA KLÓDKA

Przed laty żyła biedna wdowa z synem. Syn pracował na siebie i matkę; pasał krowę, chodził po drzewo, nosił je do miasta na sprzedaż i kupował chleba.

Pewnego razu zrobił klatkę, sprzedał ją w mieście i za te pieniądze kupił chleba. Wracając do domu, przechodził przez las i spotkał pasterzy. Pasterze truli nieszczęśliwego psa i chcieli go zabić.

— Nie zabijajcie go, — jął prosić syn wdowy pasterzy, — a jeżeli nieszczęśliwe zwierzę dokużyło wam w czemkolwiek, to mnie go oddajcie.

— A co nam dasz za to? Daj chleba!

Syn oddał chleb, a z psem poszedł do domu.

— Przyniosłeś chleba? — pyta matka.

— Chleba nie przyniosłem, ale za chleb wymieniłem psa.

— Oj synku, synku. Czemże go będziesz karmił; toć my sami ledwo żyjemy.

— To nic, mateczko. Narobię klatek, sprzedam i kupię chleba.

Syn narobił klatek, sprzedał je i z chlebem powracał do domu. Szedł przez las; widzi — pasterze chcą zabić kota.

— Dajcie mu spokój, — rzecze, — dokuczyl wam, to mnie go oddajcie.

— A co nam dasz za to? Dawaj chleb.

Syn oddał chleb i wziął kota. W domu pyta go matka:

— Przyniosłeś chleba, synku?

— Nie, matuchno! Wymieniłem chleb na kota.

— Oj, synku! Sami jeść nie mamy czego, a tu kot przybył!

— To nic, matuchno, może się i kot na co przyda.

Poszedł syn do lasu, narobił klatek, sprzedał je i wracając z chlebem przez ten sam las widzi, że pasterze pochwycili małą żmiję i chcą ją zabić. Żał mu się żmiji zrobiło i za chleb ją wymienił. Po drodze do domu, żmijka rzekła doń:

— Karm mnie, dopóki nie wyrosnę, a potem odnieś mnie do domu.

— Znowu coś przyniosłeś zamiast chleba, — rzecze wdowa, na widok syna.

— I ta żmijka przyda się nam na coś, — odparł syn.

Znów poszedł do lasu, narobił klatek, sprzedał i przyniósł chleba tyle, że najadł się i sam, i matka, i pies, i kot, i żmijka. Tak było i dalej; syn wdowy żywił całą rodzinę.

Żmijka wyrosła na dużą żmiję. Wdowi syn wziął ją i odniósł do domu.

— Słuchaj, — rzecze mu żmija, — moja matka dziękować ci będzie, dawać srebro i złoto, ale ty nic nie bierz, tylko proś o kłódkę, która wisi przy bramie. Jest to cudowna kłódka. Czego ci się tylko zachce, zastukaj w kłódkę, a wnet wystąpi dwunastu młodzieńców i dostarczą ci wszystkiego, czego zechcesz.

Gdy syn wdowy przyniósł żmiję do domu, rodzice jej zaczęli go pytać, coby żądał za swą przysługę. Syn wdowy odpowiedział, jak był nauczony.

— Dajcie mi kłódkę od bramy; nic więcej nie chcę.

— Ach, kochany chłopcze, — odpowiedzieli: — na co ci ta kłódka? Weź lepiej pieniądze. Damy ci tyle, ile tylko udźwigniesz.

— Nie chcę waszych pieniędzy. Chcę kłódkę i nic więcej, — odparł syn wdowy.

Widząc, że nie ma z nim rady, rodzice żmiji dali mu kłódkę.

Syn wdowy odszedł a w pewnem oddaleniu zastukał w kłódkę. Natychmiast wyszło z niej dwunastu młodzieńców i zapytało:

— Czego żadasz, panie?

— W jednej chwili zanieście mnie do domu.

I znalazł się w domu. Matka bardzo ucieszyła się jego powrotem.

— Dzięki Bogu, syneczku, żeś przyszedł; le-



kałam się już o ciebie, a i głód trochę mi dokuczył.

— To nic, mateczko. Już teraz nie będziemy cierpieć głodu; będziemy żyli szczęśliwi.

I wyjąwszy z kieszeni kłódkę, zastukał w nią pocichu. Wystąpiło dwunastu młodzieńców.

— Czego żadasz, panie?

— Postarajcie-no się o jedzenie dla mnie, a.a matki, dla psa i dla kota.

I po chwili wszystko się zjawilo. Stara nie mogła się nacieszyć.

Minęło sporo czasu; syn wdowy pomyślał o żeniaczce i mówi do matki:

— Idź, matuchno, do króla i wyswataj mnie z jego córką.

Matka klasnęła w ręce.

— Czy ty przy zdrowych zmysłach?

— Idź, Idź, matko i rób to, co mówię.

Stara zastanowiła się, ale ponieważ syn upierał się przy swoim, poszła swatać go z królewną.

— Dobrze, — odparł król, — jeżeli twój syn zrobi to, co mu rozkażę, to oddam mu córkę. Oto te góry, co podpierają niebo, niech mi do rana rozwieje po wietrze. I żeby na tem miejscu, tak daleko, jak okiem sięgnąć, było pole, na polu ma rosnać pszenica, a jeżeli z tej pszenicy będę jadł jutro bułkę, to — córka jego. Jeżeli zaś nie spełni mego rozkazu, to każę mu ściąć głowę.

Stara płakana wraca do domu.

— Oj, synku, synku, — zawodzi, — źleś sobie począł.—I opowiedziała mu o rozkazie królewskim.

— Nie bój się, matko. Wszystko będzie zrobione i królewna zostanie moją żoną.

— Ach, syneczku, czyliż to można wykonać?

Śpij sobie spokojnie, a jutro zrana zobaczysz, czy będzie czy nie będzie zrobione.

Po wieczerzy, gdy matka udała się na spoczynek, syn zastukał w kłódkę i wywołał dwunastu młodzieńców.

— Czego żadasz, panie?

— Te oto góry zrównajcie z ziemią i żeby na tem miejscu było pole, na tem polu pszenica, a z tej pszenicy bułka.

Nazajutrz zrana zjawiła się u króla staruszka z bułką.

— Dzieńdobry, miłościwy królu. Przynoszę ci to, czegoś żądał.

— Widzę, widzę. A teraz powiedz mu, ażeby cały las, który stąd widać, był oczyszczony do jutra, a na jego miejscu ma rosnąć wino, a wina tego mam się jutro napić cały puhar. Jeżeli tak będzie, to oddam mu córkę, jeśli zaś nie — to zetnę mu głowę.

Stara powróciła do domu i ze łzami opowiedziała to synowi; ale on się tylko roześmiał.

— Nie martw się, mateczko, idź spać; a jutro zobaczysz, czy się to stanie czy nie.

Po wieczerzy i udaniu się matki na spoczynek, syn zastukał w swą cudowną kłódkę. Wystąpiło dwunastu młodzieńców i zapytali, czego żąda.

— Trzeba, ażeby do jutra tam, gdzie jest las

rosło wino i żebym miał tego wina pełen puhar u siebie.

Tak się też i stało. Gdy król wstał, stara oczekiwiała już nań z winem.

— Bardzo pięknie. Powiedzże twemu synowi, że jeżeli będzie miał tyle bydła, co ja i takie same miasto jak moje, to oddam mu córkę, a jeśli nie, to zetnę mu głowę.

Gdy matka opowiedziała synowi, czego król odeń żąda, syn, niedługo myśląc, stuknął w kłódkę i wywołał dwunastu młodzieńców.

— Czego żadasz, panie?

— Macie mi do jutra zbudować miasto tak piękne, jakiego król nie widział jeszcze od urodzenia. Bydła i wszelakiego dobytku ma być w niem więcej niż u króla. Dookoła mego pałacu założcie ogród z rozmaitemi drzewami i niech najrzadsze ptaki w nim śpiewają. Moje miasto połączcie arkadami z miastem królewskim.

Wszystko się tak stało. Nazajutrz zrana obudził się w pałacu własnym, kazał zaprządz sześć koni do wspaniałej karocy i pojechał do zamku królewskiego, ażeby wziąć sobie narzeczoną i odwieźć ją do ślubu. Król wydał ucztę na świat cały. Trzy lata trwała uczta i przychodził każdy, kto chciał; pił, jadł i używał wszelakich uciech.

Pod koniec trzeciego roku skarb królewski już się wyczerpywał. Wtedy syn wdowy rzekł:

— Teraz przez trzy lata ja przyjmuję gości.

I znów rozpoczęły się uczty. Pomiedzy gośćmi



znajdował się król morski, który bardzo upodobał sobie królową, żonę syna wdowy. Dziwnem mu się wydało, że w tem mieście nie gotują, nie pieką, a strawa wyrasta jakoś sama przez się. Jął śledzić król morski i pewnego razu podpatrzył, jak syn wdowy wywoływał z kłódki swoich młodzieńców. Wobec tego użył podstępu i wykradł kłódkę.

— Czego żądasz, panie? — zapytali młodzieńcy, gdy ich przywołał stuknięciem w kłódkę.

— Całe miasto wraz z królową przenieście mi nad morze czarne.

Tak się też i stało.

Gdy syn wdowy i jego goście obudzili się, spostrzegli, że leżą w gęstych krzakach.

Zrozumiawszy, co się stało, syn wdowy udał się do króla i poprosił go o przytułek dla matki, dopóki nie odszuka swej cudownej kłódki i żony.

Zgoda. Poszedł i wziął ze sobą psa i kota. Przyszedł nad czarne morze i widzi zdala, na wyspie, stoi jego miasto.

— Lube zwierzątka moje, — ozwał się do psa i kota. — Widzicie, oto tam nasze miasto. Jakby to się tam dostać?

Usiadł na brzegu i ze znużenia zasnął. A kot z psem jęli się naradzać.

— Trzeba mu dopomóc, — rzekł pies, — ty nie umiesz pływać, a ja umiem. Siadaj mi na grzbiet.

Dotarli w ten sposób do murów miejskich.

— Ty nie umiesz się wdrapywać, a ja umiem, — rzekł kot, — trzymajże się mnie.

Wdrapali się na mur, zeskoczyli i kot udał się do pałacu, a pies czekał.

Dobiegłszy do pałacu, kot zakradł się do pokoju samego króla i miauknął:

— Miau, miau!

Król myślał, że to jego własny kot i wpuścił nieproszonego gościa. Kot obwąchał wszystkie kąty, znalazł kłódkę i wzięwszy ją w zęby, dalejże do drzwi:

— Miau!

Kamerdynier króla drzwi otworzył i kot znikł.

— Masz kłódkę? — pyta pies.

— Mam. Idźmy prędzej.

Taż samą drogą przebyli mur miejski i jeli płynąć morzem.

— Daj mi kłódkę, — rzekł pies.

— Nie dam.

Zaczęli się bić, kłódka wypadła i pochwyciła ją ryba. Rybę zaś kot pochwycił.

— Oddaj kłódkę, bo cię zgryzę!

Ryba oddała kłódkę i kot z psem, pogodzwszy się, wyszli na brzeg. Syn wdowy obudził się i rzekł z westchnieniem:

— Jak ja się tam dostanę?

— Panie nasz, przynieśliśmy ci kłódkę, — oświadczyły zwierzęta.

— Zuchy! — I wzięwszy kłódkę, syn wdowy zastukał w nią. Wyskoczyło dwunastu młodzieńców.

— Czego żadasz, panie nasz?

To miasto ze wszystkim, co posiada, postawić na dawnym miejscu.

Tak się i stało. Syn wdowy poszedł do swego miasta i spotkał się tam ze swoją żoną. Uściskali się serdecznie i zaczęli żyć i kosztować uciech wszelakich.



## 4. Bajki czeskie.

### DROGA DO SZCZĘŚCIA.

Jerzyk leżał na miedzy, z ręką pod głową i patrzył w niebo. Wieczór był cudny. Po lazurowym niebie płynęły obłoki, lekkie, jak para; ich brzegi od strony słońca miały odcień złoty. Było cicho, chłodno, na miedzy świerkały świerszcze i czuć było mocny zapach trawy wiosennej.

Nieopodal Jerzyka pasła się krowa, a dzwonek przywiązany do jej szyi, pobrzękiwał co chwila.

Jerzyk miał oczy niebieskie, jak niebo, a twarz jak jabłko, rumianą.

Leżąc twarzą do góry, widział niebios sklepienie, wsparte o brzeg ziemi i serce aż rozpływało mu się z rozkoszy. Chciał iść daleko, daleko, szukać szczęścia.

Tam, za polem, była niska izdebka, gdzie mieszkali jego rodzice i młodsza siostra; a obok sąsiadka z synem Wacławem, jego przyjacielem. Co rano wychodził Jerzyk na robotę i pracował gorliwie, a o zmroku wyprowadzał pstrokatą na

trawę i wtedy Bóg wie jakie myśli przychodziły mu do głowy; istny robak mózg mu toczył.

Nic go nie cieszyło, nie rozweselało w rodzinie. Roił sobie, że gdyby mu się dostała w udział choć odrobina szczęścia, to nie potrzebowałby w pocie czoła na swój chleb zarabiać. I przy myśli o szczęściu wyobrażenia malowała mu obrazy najrozkoszniejsze.

Leżał sobie tak na ziemi, marząc i rojąc sny na jawie, gdy nagle stanęła przed nim zgarbiona staruszka, której nigdy przedtem nie widział, chociaż znał każdego człowieka w okolicy tak, jak każdy znał Jerzyka. Skąd się wzięła ta staruszka? Pewno zdaleka. Jak się tu dowlekła? Taka maleńka, chudziutka, że zda się, można ją było złożyć we dwoje i zawiązać w węzełek.

Jerzyk podniósł się i zapytał staruszkę, dokąd idzie i czego jej potrzeba.

— Nigdzie nie idę i nic mi nie trzeba; ale ty tobyś poszedł z ochotą, — odparła stara, sepleniąc.

Jerzyk spojrzał na nią zdziwiony. Skąd ona mogła wiedzieć, że poszedłby z ochotą. Ale jeszcze się więcej zdziwił, gdy staruszka opowiedziała mu, co do słowa wszystkie jego najskrytsze myśli i rojenia.

— To wy mnie znacie, babciu? — zapytał Jerzyk.

— Jakże nie mam cię znać, głuptasku, kie-

dym stała u twojej kołyski. Wszak jestem przeznaczaniem twojem.

— No to czego chcesz odemnie, babciu? Wiesz przecież, że ja marzę o szczęściu, któregoś mi nie przeznaczyła.

— Przeznaczyła czy nie przeznaczyła, a przychodzę po to, ażeby ci wskazać do niego drogę.

Jerzyk zerwał się na równe nogi i zdało mu się, że wszystko kręci się mu wkoło. Zapomniawszy o pstrokatej, poszedł za staruszką wzdłuż miedzy do lasu, dziwiąc się, jak lekko szła przodem, jak gdyby płynęła, nie dotykając nogami ziemi.

Pasterz spotkał Jerzyka ze staruszką i opowiedział o tem we wsi. Na miedzy znaleziono pstrokatą, a Jerzyka wołali, nawoływali, hukali, krzyczeli i nie dowołali się do późnej nocy. Cała wieś się rozbiegła po lesie, ale o Jerzyku ani dudu, ani słychu.

Kmiotkowie pojąć nie mogli, co się stało z Jerzykiem. Wszak się nie zapadł w ziemię i wszak jakaś tam szczuplutka starowinka nie mogła zdusić takiego silnego chłopca.

Dnie schodziły jeden po drugim, a Jerzyk nie wracał. Ojciec chodził posepniejszy od nocy, siostra Andzia co wieczór chodziła na miedzę, dokąd Jerzyk wyprowadzał pstrokatą i czekała na brata. Stary żebrak powiedział jej, że ze zniknięciem Jerzyka łączą się czary i wierzyła mu.

Upatrzwszy chwilkę, gdy nikt jej nie widział, Andzia rozmawiała z pstrokatą, jak z rozumnem



stworzeniem, zapytując ją o brata; wpatrywała się w pełnię księżyca, w nadziei, że na niej odnajdzie rozwiązanie zagadki, zapytywała gwiazd, ale nic jej nie mogło wyjaśnić ciężkiej tajemnicy. Jerzyk w istocie zapadł się, jak w ziemię.

A tymczasem z Jerzykiem oto, co się stało. Szedł za swoją losówką przez las do granitowej skały, na której szczycie rosła stuletnia sosna, a u stóp, w cieniu, posępna paproć, gdzie bije źródło, czyste jak kryształ. Tam stanęli.

— Ze źródła tego bierze początek rzeczka, przepływająca przez waszą wioskę, — rzekła stara. — Weź z niego kamyczek i schowaj go. Jeżeli za-  
tęsknisz za domem i biedą swoją, rzuć kamyczek za siebie i wspomnij o mnie; a teraz idź.

Ścisnęło się serce Jerzykowi. Spojrzał na staruszkę, w oczach jej błyszczała dobroć; spojrzał na las, las był pełen czarów wieczornych.

— Cóż, iść czy zostać? — myślał Jerzyk, — miałabym wypuścić szczęście, gdy samo pcha mi się w ręce?

Podziękował starej i na jej znak rozsunała się skała. Jerzyk wszedł i skała zamknęła się za nim. Obejrzawszy się dokoło, spostrzegł, że jest w dziwnie pięknej, ale w całkiem nieznanej sobie miejscowości.

Jak cudowny jest świat Boży, myślał Jerzyk, zaślaniając oczy od słońca. Dzień był jasny; ani jedna chmurka nie pstrzyła lazuru niebos. Jerzyk

szedł ścieżką w lesie, potem wyszedł na polanę i zobaczył zamek jak śnieg biały.

Udał się tam Jerzyk. Przed bramą stało czterech ludzi. Ujrzawszy Jerzyka, zbliżyli się doń i powitali go radośnie.

— Wielkie szczęście cię spotyka, — rzekł doń, — nasz pan umarł bezpotomnie, a ostatnią jego wolą było, ażeby pierwszy podróżny, idący z lasu od północy stał się jego dziedzicem. Tobie sędzono być tym szczęśliwcem. Witamy cię, dawno upragniony i oczekiwany.

Wstąpiwszy do zamku, Jerzyk zadziwił się jego wspaniałością. Białe marmur, obicia złotem tkane, miękkie dywany, wspaniałe meble — wszystko to oślepiało i uderzało młodzieńca. Z ogrodu, przez otwarte okna, wlewała się cudowna woń.

Nowemu panu pokazano wszystkie kosztowności zamku: srebro, złoto, błyszczące kamienie. Cały szereg służby starał mu się dogodzić na wyścigi. Podawano potrawy i napoje, o jakich Jerzykowi nawet nie roіło się we śnie. Wogóle, wszystko, co go otaczało, podobne było do snu, lubo Jerzyk czuł, że to nie sen przecie! Czuł także, że posiada dosyć rozsądku do odgrywania z godnością roli pana i nie poznawał sam siebie. Znużony wrażeniami dnia, położył się na miękkiej pościeli, ogrodzonej kosztowną zasłoną i zamknął oczy do spoczynku.

Zrana oczekiwało nań wielu proszących. Wysłuchiwanie ich wydało się Jerzykowi nudnem i mę-

czącym. Był to pierwszy mrok na jego horyzoncie.

Wieczorem wyszedł do sadu, ażeby odetchnąć wonnem powietrzem. Tu poczuł, że serce mu się jakby ścisnęło, ale przewyciężył szybko to uczucie. Dziwnym byłby smutek przy posiadaniu wszystkiego, czego tylko pragnął.

Dzień schodził za dniem. Jerzyk zapoznawał się z ludźmi i codziennie spostrzegał coś niemiłego: oszustwo, pochlebstwo, wykręt. Wszystko to psuło mu dobry humor.

Nierzadko wspominał o rodzicach i milej, kochanej Andzi.

Teraz nie mógł, jak bywało, na miedzy leżeć sobie na plecach, z ręką pod głową i spoglądać w niebo. Ciągłe otaczali go ludzie, którzy mu byli całkiem obcy.

— Czem jest w rzeczywistości szczęście? — rozmyślał. — Nie w bogactwie i nie w rozkoszach szczęście. Czegoż mi brakowało we wsi rodzinnej? Nie miałem nic, a miałem wszystko. Obok mnie byli drodzy mi ludzie, była praca. A teraz mam wszystko i nie mam nic. Nikt mnie nie lubi, lecz tylko schlebiają mi. Nic nie robię, piję i jem gotowe; rzetelnie swego, zarobionego, nie mam nic.

W domu robiłem, a wieczorem odpoczywałem na miedzy, na miękkiej trawce. A gdy wróciłem, jak smaczna była polewka i chleb razowy z masłem! Czy to nie było szczęście?

Wiele dałby za to, ażeby choć na chwilkę znaleźć się w domu i zobaczyć, co się tam dzieje.



Ale dom był daleko; on sam wyszedł zeń w pogoni za szczęściem, gdy szczęście było tak blisko, tuż przy nim, w domu.

Niejednen raz chciał już rzucić poza siebie kamyczek, ale się wstrzymywał. Dobrze byłoby, gdyby mógł złoto zabrać ze sobą. Ale staruszka mu powiedziała, że musi wrócić takim samym biedakiem, jakim wyszedł. Jerzyk chudł i mizerniał; apetyt stracił zupełnie. Konie, powozy, służba — nic go nie cieszyło. Tęsknił za domem i daremnie walczył ze sobą.

Nareszcie zabrakło mu sił do walki. Minął rok od czasu, gdy się osiedlił w zamku, przypomniał sobie losówkę i rzucił kamyk poza siebie.

W tej chwili Jerzyk stracił przytomność; a gdy się ocknął, ujrzał się obok staruszki pod skałą granitową, na szczycie której rosła sosna, a na dole paproć.

— Teraz wiadomo ci, czym jest szczęście, — rzekła staruszka, uśmiechając się łagodnie.

— Poznałem je, — odparł młodzieniec, — miałem je, a nie znałem.

Staruszka znikła, a Jerzyk pobiegł do domu. Rychło rozniosła się wieść o jego powrocie.

Rodzice o mało nie poumierali z radości; Andzia aż pokraśniała ze szczęścia.

Przyjaciel Jerzyka, Wacław i cała wieś słuchali z otwartymi ustami opowiadania o jego przygodach i nie mogli wyjść z podziwu, że postanowił wyrzec się bogactwa i wrócić do ubóstwa.

Ale Jerzyk, przekonawszy się z doświadczenia, że niema większego szczęścia, nad miłość rodziny i większej rozkoszy, niż praca, która krzepi i dodaje otuchy człowiekowi, słuchał wykrzykników swoich towarzyszy całkiem spokojnie i ani na chwilę nie pożałował tego, co utracił.

Niekiedy chadzał z siostrą do zaczarowanej skały, która rozstała się przed nim po to, ażeby poznać szczęście i w cieniu sosny stuletniej zbierał piękne paprocie na bukiety dla Andzi.

## ZŁOTE ŹRÓDŁO.

Tak to już bywa u niektórych ludzi na świecie. Im więcej mają, tem więcej chcą posiadać. Takim nieszczęśliwym człowiekiem był, dawno już temu, pewien stary rycerz z Nachodu. W całych Czechach nie było bogatszego odeń rycerza. Niepodobna było zliczyć wszystkich jego skarbów. W jednej piwnicy leżało u niego srebro, w drugiej złoto, w trzeciej różne kosztowności. Uzbrojone straże pilnowały tych bogactw. A ile miał ziemi i lasów! We wszystkie strony dookoła Nachodu widać było tylko jego ziemie.

Ale dla chciwego rycerza wszystkiego było za mało. Chciał mieć jeszcze więcej; więcej nawet, niż sam wojewoda ziemi czeskiej. Dzień i noc myślał o tem, ale nic nie wymyślił.

Pewnego razu, latem, pod wieczór, wyszedł ze swojego zamku. Było to w wigilię świętego

Jana. Szedł zamyślony, naprzód doliną, potem wkroczył do gęstego ciemnego lasu i znalazł się przed starą izdebką, której przedtem nikt nie widział i nikt nie słyszał o jej istnieniu.

— Co to za izdebka i kto w niej mieszka?—  
zadziwił się rycerz.

Otworzył drzwi i wszedł. Chuda, garbata staruszka stała przed kominem i mieszała coś w kotle. Przy niej stał kij i siedział ogromny kot czarny, któremu ślepie błyszczwały w ciemności, jak dwa rozżarzone węgle.

— Coś ty za jedna? Pocoś tu przyszła i co robisz w moim lesie i bez mojej wiedzy?— z gniewem zawołał rycerz.

— Witaj mi, witaj pożądany gościu,— odparła stara, — co sprowadza jasnego pana w moje ubogie progi?

— Wpierw odpowiadaj, a potem pytaj; a czy ja ci odpowiem, to moja wola!

— Twoja wola, twoja, przemożny panie. Wiem ja i bez tego, żeś bogaty i potężny, znam też twoje skryte myśli i mogę ci dopomóc, jeżeli to posłuży do twojego szczęścia,— odparła staruszka, opierając się na kiju i patrząc na rycerza przenikliwym wzrokiem.

— Znasz mnie? A cóż ty za jedna?

— Jam wiedna-wszechwiedna, co zna terazniejszość i przyszłość, która pomaga, radzi i leczy. Zna mnie cała okolica. W tym oto kotle źródło mojej mądrości. Tu warzą się różne trawy i korze-



nie: czworolistek, złotokwiat i inne, zmieszane z majowym sokiem młodej brzozy i buku...

— Jeżeli istotnie jesteś wszechwiedna, to może znajdziesz środek dla pomożenia mi w tem, o czem myślę ciągle.

— Pomogę, jeżeli twoja chęć nie zwali biedy na ciebie. Bo wszak, wielmożny panie, nie dla każdego człowieka bywa z korzyścią, ażeby się miały spełnić jego życzenia.

— Mówiłaś przecie, że mnie znasz i wiesz, jakie mam myśli.

— Prawda, ale u mnie taki porządek, że każdy musi sam mówić, czego mu trzeba. Siadź sobie pan, o tam i powiedz mi, co ci ciąży na duszy.

I staruszka wskazała mu kamień.

— Słuchaj, wszechwiedna wiedźmo, — rzekł rycerz, siadając na kamieniu, — mam takie życzenie: posiadam dużo mienia i pól i lasów, piwnice moje pełne są bogactw. Ale wszystkiego tego mi za mało. Chcę być najbogatszym człowiekiem w całym królestwie; bogatszym od samego księcia.

— I w tem mogę ci dopomóc, panie rycerzu, — rzekła czarownica, siadając naprzeciw niego na drugim kamieniu.—Słuchaj z uwagą: na wschód od twojego zamku, na górze, jest skała. To skała dobroszowska. W niej w noc świętojańską bije złote źródło; w skale też i ginie. Pilnują go gnomy, duchy gór. Nikogo nie chcą doń dopuścić; ale ty, z moją pomocą, możesz wziąć z niego tyle złota, ile zapragniesz, byleś, wielmożny panie, pamiętał

o moim nakazie. Dam ja ci trzy złote kwiatki paproci, która zakwitnie tej nocy. Z temi kwiatami udasz się dziś jeszcze do skały dobroszowskiej i obejdziesz ją trzy razy. Po trzecim obchodzie, stań na stronie północnej, przyłóż lewe ucho do skały i słuchaj. Jeżeli usłyszysz stuk, hałas, turkot, łomotanie, to znaczy, że mali kowale, gnomy, rozpoczęli swoją robotę. Wtedy nie trać czasu. Trzema kwiatami paproci uderz trzykroć o skałę i wymów trzy razy :

„Twarda skało, otwórz wrota,  
A żeś można, daj mi złota“.

— Naucz się tych wyrazów i nie pomyśl się, bo cię bieda nie minie. Jeżeli zaś wszystko spełnisz, skała się rozstąpi i zobaczysz źródło. Z tego źródła popłynie złoty strumień, ale też schowa się w skale. Pod złote źródło podstaw dzban, a gdy złoto napłynie, idź pod światło księżyca i wylewaj złoto na to miejsce, na które księżyc świeci. Złoto będzie zastygać i pod światłem księżyca zamieni się w złotą sztabkę. Zostaw ją niech sobie leży, a sam biegnij co żywo znowu napełniać dzban i tak aż do świtu. Pamiętaj tylko: pilnuj kwiatów paproci, jak oka w głowie. Jeżeli uronisz jeden bodaj — zginięsz najniezawodniej. W tej samej chwili skała zamknie się za tobą i gnomy zamordują cię.

Chciwy rycerz zadrżał z niecierpliwości.

— Dzięki ci, mądra staruszek. Bądź pewna, że ściśle wykonam wszystkie twoje zlecenia i że niczego nie zapomnę. A jeżeli spełni się wszystko, jak mó-

wisz, to cię hojnie wynagrodzę. Dawajże kwiaty paproci, pobiegnę, polecę!

— Nie mam ich tutaj, wielmożny panie. Wszak kwitną tylko w noc świętojańską. Racz pójść ze mną do ponurego wąwozu, nad potok, tam je dostaniesz.

— Oto są kwiaty,—rzecze wiedźma, gdy przyszli na oznaczone miejsce. — W nich twoje szczęście, a może i nieszczęście, zależy to od tego, jak się sprawisz.

Schwyciwszy kwiaty, rycerz puścił się co siły do swego zamku, wziął dzban i niespostrzeżony przez nikogo, pospieszył do skały dobroszowskiej. Księżyc świecił, jak oko rybie i oświecał drogę, po której rycerz wdrapywał się na skałę. Było cicho jak w kościele, a ciszę uroczystą zakłócał tylko szmer potoku górskiego. Niekiedy zbudzona sowa trzepotała skrzydłami, jakby gniewając się na śmiałego przechodnia, który się poważył ze snu ją zbudzić.

Było około jedenastej, gdy znużony rycerz dowlókł się nareszcie do skały dobroszowskiej. Był u celu swoich pożądań. Serce młotem waliło mu w piersi. Pełen niecierpliwości, nie odpoczął nawet, jak się należy i jął obchodzić skałę. Obszedłszy ją trzy razy, stanął na stronie Północnej i przyłożył ucho do strumienia. Długo słuchał, wszystko było cicho, jak w grobie.

Około północy dał się słyszeć szum oddalony.

— Aha, zaczyna się, kowale idą do roboty,—pomyślał rycerz.



Zaczął się stuk, hałas, łomot, coraz większy, coraz głośniejszy.

Rycerz uderzył trzykroć w skałę i mówił słowa, których go nauczyła wiedźma:

„Twardo skało, otwórz wrota,

A żeś można, daj mi złota!”

Zaledwie skończył... O dziw nad dziwy! Skała się rozsunała, a w jej głębi błysnęło złote źródło, z tego źródła wypływał złoty strumień, który, nie dochodząc do ziemi, chował się w skałę. Obok źródła i strumienia małych kowali było tak wiele, jak maku w polu. Wzrostem nie dosięgali trzyletniego dziecka, z brodą po kolana, w czarnych krótkich spodenkach, czerwonej kurtce i takiejże czapce. Przy pasie mieli lampkę, jak górnicy. W rękach trzymali młoty, ale spostrzegłszy rycerza, odłożyli je. Trzeba było widzieć oczy tych malców. Połyskiwały gniewem i nienawiścią. Gnomy wiedzieli, po co rycerz przybył, ale nie mogli mu przeszkodzić.

Rycerz, nie tracąc czasu, podbiegł do potoku, nabrał pełny dzban płynnego złota i pobiegł na miejsce, oświetlone księżycem. Tu wylał złoto. Dziw dziwów! W miarę wylewania, złoto zastygało i zamieniło się wkrótce w piękną sztabę.

Rycerz zaryczał z radości. Już wyobrażał sobie, że będzie bogatszy nie tylko od księcia czeskiego, ale i od najbogatszego z bagaczy świata.

Trzeba było śpieszyć się znowu z napełnianiem dzbanu. Rycerz pobiegł do źródła. Ale ze wzruszenia drżały mu ręce i... wypuścił złoty kwiatek,

Nagle, dał się słyszeć śmiech djabelski i ktoś zawołał z góry:

„Głupcze! Złotaś szukał skrycie!

Przez tę chciwość tracisz życie!”

Nastąpił straszny hałas, gwałt, rwetes, śmiech i okrzyki radości. Zanim chciwiec zdołał się opamiętać, skała się zamknęła i ukryła go na wieki.

Nazajutrz zrana, ludzie z Dobroszowa, przechodząc tą drogą, znaleźli sztabkę złota. Nikt nie wiedział czyje to złoto i skąd się tam wzięło. Wkrótce dała się słyszeć po całej okolicy wieść, że rycerz z Nachodu przepadł bez śladu.

Czarownica, dowiedziawszy się o tem, pokreśliła siwą głową.

— Wszak ostrzegałam go,— mówiła,— to chciwość zaprzepaściła rycerza.

## WODNIK POD SKAŁĄ WYSZEHRADZKĄ.

O tem, że pod ponurą skałą wyszehradzką jest ukryty skarb Libuszy i o tem, że w nurtach Wełtawy mieści się kołyska jej syna, słyszeliście niezawodnie; ale o wodniku, który mieszka w Wełtawie pod Wyszehradem, bodaj czy wam wiadomo.

Zdarza się, że wodnik ten wyłazi niekiedy z wody i siedzi na brzegu, lub w trzcinie. Czapkę zesunie na tył głowy i gwizdże lub trąbi. Przyplływają rybki i słuchają. Dookoła niego przewalają się porosty wodne, istne wstęgi z zielonego akşamitu.

Pewnego razu mały chłopczyk, brodząc w płytkiej wodzie, pociągnął za jedną roślinę. Wodnik cap i porwał go ze sobą pod wodę.

Biada tym, którzy idą się kąpać przed szóstą zrana lub w samo południe ; wodnik czycha.

W nocie letnie, wodnik dobiera się i do skały Wyszehradzkiej, a siedząc tam, zrywa najładniejsze kwiaty. Jam go tam nie widział, ale dobrzy ludzie mi opowiadali.

Więc i ja powtórzę, com słyszał od dobrych ludzi.

## JAK WODNIK CHODZI PO SPRAWUNKI.

Co rano wodnik chodzi po sprawunki. Ma on złą żonę, ogromną zieloną ropuchę i musi pomagać jej w gospodarstwie.

Przedewszystkiem idzie do piekarni po bułki. Ma na głowie czapkę niebieską, a na ciele zieloną kamizelkę i szafirowe spodnie. Twarz ma szeroką, pomarszczoną, włosy zielonkawe ; wygląda, jak ubogi staruszek.

Kupiwszy bułek, idzie do rzeźnika. Na mięso jest bardzo wybredny.

— Od krzyża, kumciu, od krzyża, — mówi płaczliwie, a gdy rzeźnik rozbiera mięso, on coraz to palce podsuwa.

Był u rzeźnika zły pomocnik. Grymasy wodnika wyprowadzały go z cierpliwości.

— Nie podsuwaj palców, bo odskoczą!



Wodnik spojrział na złego pomocnika i zachichotał.

Wtedy to odskoczył mu mały palec.

Miał też za swoje pomocnik rzeźnika! Gdy nazajutrz poszedł się kąpać, wodnik pociągnął go na dno.

## WODNIK I FURMAN.

Furman pewien jechał kiedyś z ciężko wyladowanym wozem po błotnistym brzegu Wełtawy Ugrzął w błocie i konie ani rusz z miejsca.

Nagle, ni stąd, ni zowąd zjawia się mały staruszek, pociąga furmana za połę i rzecze:

— Przyjacielu, podwieź mnie.

— Jakże cię mogę podwieźć. Czy nie widzisz jaki mam ciężar; męka dla koni i tyle.

Drobny starowinka zaśmiał się.

— Mnie możesz jednak zabrać, jestem leciutki jak piórko.

Co mówiąc, wskoczył na wóz.

I cóż się dzieje? Oto konie pobiegły tak szybko, jakby ciężaru wcale nie było.

Gdy zaś wodnik zlaźł i chlup!—skoczył do wody, koniom zaciężyło znowu.

Inny furman także jechał po brzegu Wełtawy. Znow zjawia się staruszek.

— Powieź mnie, przyjacielu!

Ale furman odburknął i chlasnął go batem.

I temu się dostało za śmiałość. Wieczorem

pławił konia. Wodnik chciał go ściągnąć, ale nie dał rady. Furman siedział na koniu, a konia wodnik przemóc nie był w stajnie. Ale przywołał sobie do pomocy wodnika z Dunaju i obaj przemogli konia i zatopili furmana.

## WODNIK I RYBAK.

Pewien stary rybak łapał ryby pod Wyszehradem. Siedział do nocy, ale nic mu się nie trafiło. Zniecierpliwiony, zebrał sieć i chciał iść do domu.

Nagle stanął przed nim karzeł o zielonych oczach.

— Poczekaj, bracie, zarzuć no raz jeszcze.

— I poco będę zarzucał, skoro się nic nie łapie, — mruknął rybak, — lepiej pójdę się wyspać.

— Spróbuj, a zobaczysz, — upierał się karzeł.

Rybak usłuchał i zarzucił sieć. Nabrało się tyle ryb, iż rybak ledwie mógł sieć wydobyć. W tej chwili północ wybiła. Chlup! Karzeł dał nurka w wodę. Rybak przeżegnał się, cisnął ryby i drapnął, ani się obejrzawszy nawet.

## WODNIK I PRZEWOŹNICY.

Nie mało ucierpieli od wodnika przewoźnicy. Wyprawia on z nimi rozmaite figle.

Pewien przewoźnik opowiadał, że około dziesiątej w nocy ktoś go zawołał. Wychodzi z izby i

widzi — troje czarnych ludzi stoi na brzegu; z lewego trzewika woda im ścieka. Zażądali promu; zaledwie jednak dopłynęli do środka Wełtawy — chlup! wszyscy trzech znikli pod wodą.

Przewoźnik przestraszył się i powrócił; a poza nim dał się słyszeć chichot.

Nazajutrz zrana przewoźnik znalazł na promie dukata. Domyślając się, skąd się wziął pieniądz, przewoźnik cisnął go w rzekę.

U jednego przewoźnika wodnik żył w domu i nie było sposobu się go pozbyć. Pewnego razu wepchnął go w worek, mocno zawiązał i przymocowawszy kamień, zatopił w rzece. Wraca do domu, a wodnik siedzi sobie na piecu i grzeje się. Tak żył u przewoźnika do samej jego śmierci.

---



## 5. Bajki kaszubskie.

### O TRZECH BRACIACH: DWÓCH MĄDRYCH I JEDNYM GŁUPIM.

Pewien król miał jedną jedyną córkę. Kazał on rozgłosić po całym swoim państwie, że jeżeli się znajdzie człowiek, co obmyśli łódkę, któraby chodziła i po morzu i po lądzie, to odda mu swoją jedynaczkę.

W jednej wsi mieszkał kmiotek; miał dwóch synów mądrych, a trzeciego głupiego. Mądrzy nieustannie wyśmiewali się z głupiego i nigdzie nie chcieli go brać ze sobą.

Dowiedziawszy się o rozkazie królewskim, dwaj bracia nie powiedzieli nic trzeciemu i poszli do lasu pracować.

Zbliżył się do nich staruszek i rzecze:

— Panie Boże dopomóż, syneczku. Dajcie mi ognia, niech sobie fajeczkę zapalę.

— Nie mamy czasu, — odparli bracia i robili dalej, odwróciwszy się od staruszka.

— Z pracy waszej wyjdzie wspaniałe koryto dla świń, a królewny nawet nie zobaczycie — rzekł staruszek odchodząc.

Tak się też i stało. Dowiedział się głuptas o rozkazie królewskim i postanowił spróbować szczęścia. Gdy robił w lesie łódkę, zbliża się doń ten sam staruszek i rzecze:

— Panie Boże dopomóż, syneczku.

— Panie Boże zapłać, dziaduniu. Możebyś mi poradził, jak zrobić taką łódkę, coby chodziła i po morzu i po lądzie.

— Rób, rób, mój synku. Bóg ci dopomoże!— odparł staruszek.

I rzeczywiście, Bóg natchnął głuptaska do wykonania takiej łódki, że chodziła i po morzu i po lądzie. Gdy łódka była gotowa, przyszedł ten sam staruszek i rzecze:

— Gdy pojedziesz do króla, bierz ze sobą każdego, kogo tylko spotkasz.

Przed dołem z wodą głuptas spotkał ubogiego, który pił, pił i nie mógł się napić. Zabrał go ze sobą. Potem wjechawszy na górę, spotkał biednego staruszka w podartej odzieży. Pomimo, że słońce paliło żarem, starzec drżał i skarżył się: „zimno mi, zimno!“ — I jego głuptas wziął ze sobą. Jeszcze dalej trafił mu się żebrak, który kość obgryzał i wołał: „Jeść, chce mi się jeść!“ Wziął i tego ze sobą.

Przyjechał do króla. Król obejrzał łódkę i zobaczył, że jest wykonana bardzo dowcipnie. Miała oś i koła, co jej nie przeszkadzało iść i po wodzie. Spostrzegł król i to także, że artystą, który wykonał łódkę, jest chłop zwyczajny i przytem biedny.

Nie chciało się królowi oddawać swej córki za takiego zucha i dał mu zadanie: znaleźć takiego człowieka, coby w jedną noc zjadł dwanaście bochenków chleba i takiego, coby w jedną noc zjadł dwunastu byków i wypił dwanaście beczek piwa i jeszcze takiego, coby całą noc przesiedział na rozpalonym piecu.

Zafrasował się pan młody i poszedł na radę do starców, którzy siedzieli w jego łódce.

Jeden rzekł, że się żadną miarą nie może napić, drugi, że się nie może najeść, trzeci — że się nie może ogrzać.

Gdy nazajutrz król przyszedł zobaczyć, czy zadanie jego zostało wykonane, troje żebraków ujrzawszy go, zawołało:

— Jeść! pić! zimno!

Ale król był uparty i za nic nie chciał dać swej córki chłopu. Poszedł on na wojnę z królem sąsiednim i ogłosił, że odda córkę temu, kto się okaże najzręczniejszym rycerzem.

Dwóch mądrych braci pojechało na wojnę na dobrych koniach, a głupi — na kusej kobyle. Gdy ledwie-ledwie włókł się po drodze, spotyka tego samego staruszka.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — wita go głuptas.

— Na wieki wieków, Amen!

Jechali dalej razem, gawędząc po przyjacielsku i jak zwykle, starszy uczył młodszego.

— Gdy pojedziesz przez wielki las, to z pra-



wej strony zobaczysz rozłożystą lipę. Pojedź do niej i powiedz:

— Lipo, lipo, otwórz się. — Lipa się otworzy i wyjdzie z niej osiodłany koń. Na siodle leżeć będzie nowa odzież, a na szyi konia będzie wisiała torba.

Gdy włożysz odzież, wsiądziesz na konia i spotkasz wojsko nieprzyjacielskie, powiedz tylko:

— Wychodźcie, żołnierze z torby! — I wyjdzie wojska kilka tysięcy, a z nimi zwyciężysz wroga. A teraz z Bogiem!

Wszystko stało się tak, jak powiedział starszek.

Głuptas pokonał wojsko nieprzyjacielskie, ale jeden z żołnierzy drasnął go w nogę. Król to spostrzegł i rozdarłszy własną chustkę na połowę, jedną połową przewiązał rannemu nogę, a drugą połowę schował.

Po skończonej wojnie, nasz rycerz pojechał do lipy, zwrócił jej wszystko i poszedł do domu.

Król rozpytywał dokoła, jak się nazywa rycerz, co pokonał wroga, ale nikt nie umiał mu dać odpowiedzi.

Wtedy rozesłał gońców, ażeby odnaleźli człowieka ze zranioną nogą, przewiazaną chustką królewską.

Długo wysłańcy królewscy nie mogli znaleźć, kogo im było trzeba, gdyż szukali pośród ludzi bogatych. Wtedy król rozkazał obejrzeć nogi wszystkim poddanym, bez różnicy stanu.

Przeszukawszy w ten sposób, gońcy doszli do izdebki, gdzie dwaj bracia mądrzy siedzieli za stołem, a głuptas piekł na węglach placuszki. Jedną nogę miał przewiazaną chustką króla.

Gońcy zrozumieli, że stoi przed nimi ten, którego szukali, ale najstarszy z nich nie mógł się pogodzić z myślą, że córka królewska dostanie się idjocie. On by i sam się z nią ożenił.

Wziąwszy ze sobą głupiego, gońcy pojechali zpowrotem. Gdy przybyli do lasu, goniec, który chciał być się ożenić z córką króla, zabił towarzysza i głuptasa, zaciął się w nogę i przewiązał ją sobie chustką królewską.

Król i jego córka byli bardzo zadowoleni z owego narzeczonego. Był to człowiek zdolny i zręczny.

Tymczasem potężny staruszek niewidzialny był obecny przy zabójstwie. Zbliżył do zabitych i wziąwszy ich za ręce, postawił na nogi.

— Idźcie na dwór królewski. Jutro wesele córki króla.

Poszli i powiedzieli królowi całą prawdę.

Król przywołał oszusta i zapytał go, co należy zrobić z człowiekiem, który postąpił sobie tak a tak.

Nie podejrzewając niczego, oszust odpowiedział:

— Przywiązać go do dwóch koni, niech go rozerwą na dwoje.

— Jaką śmierć sameś sobie naznaczył, taką i umrzesz, — rzekł król.

Niegodziwca przywiązano do dwóch koni, które

rozerwały go na dwoje, a głuptas ożenił się z córką królewską.

I była uczta na świat cały, ja na niej byłem, jadłem piłem — i biwakowałem; a jak mnie ucęstowano: dano mi szklanne buty, papierowy kaftan i maślany kołpak. Gdym się roztańcował, masło się stopiło, papier pękł, a szkło się potłukło.

Wzięli mnie grzesznika, wsadzili w armatę i wystrzelili. I oto znalazłem się aż tu, przy tym oto stole.

A młodzi małżonkowie żyją dotąd zdrowo, o ile wczoraj nie pomarli.

## ROZMOWA ZWIERZĄT.

Starzy ludzie mówią, że w wigilię Bożego Narodzenia zwierzęta rozmawiają ze sobą o tem, co się z niemi stanie w tym roku.

Pewien gospodarz, który posiadał dar rozumienia języka zwierząt, wlaź w wigilię do obory i zaczął podsłuchiwać.

Mówi jeden wół do drugiego:

— Za tydzień odwieziemy naszego gospodarza na cmentarz.

Przestraszony gospodarz zlaźł ze strychu, poszedł do żony i opowiedział, co słyszał.

Żona zaczęła się zeń wyśmiewać:

— Co za głupstwo! Gdy nadejdzie czas na ciebie to nie woły lecz konie odwiozą cię na cmentarz. A gdyby i koni nie było, to każdy sąsiad



chętnie zrobi ci ostatnią przysługę i da swoich koni.

Na trzeci dzień gospodarz zachorował i umarł.

Tej samej nocy koniokrady uprowadzili mu konie ze stajni.

A sąsiedzi?

U jednych konie zachorowały, drudzy nie chcieli dać koni dla nieboszczyka.

I oto woły zawiozły go na cmentarz.

---

## 6. Bajki łużyckie.

### POMYŚLNY DZIOINEK.

Pewnego pięknego poranku wilk obudził się w swojej norze. Obudził się i wyciągnął. W tej chwili spojrzało nań złote słońko.

Obok wilka przebiegł lis.

— Będiesz miał dzisiaj pomyślny dzioinek, — rzekł doń.

— Dlaczego? — zapytał wilk.

— Dlatego, że złote słońko spojrzało na ciebie w chwili, gdyś się obudził.

— Kiedy tak, to trzeba wybrać się na łowy; a zamierzałem przeleżeć dzień cały.

Pobiegł wilk lasem i spotkał dwóch złodziei, którzy nieśli po kawale ukradzionego mięsa. Spostrzegłszy wilka, złodzieje porzucili mięso i uciekli.

— Lis miał słuszość, — pomyślał wilk, wachając mięso; — mam dzioinek pomyślny! Ale najeść się naczczo, to się będzie chciało pić przez dzień cały. Zobaczę, czy się coś lepszego nie trafi.

I wilk pobiegł dalej. Przybiegł na łąkę, widzi — kłacz się pasie ze źrebicem. „O, to będzie lepsze!” pomyślał wilk i mówi do kłaczy:

— Przechacna kobyłko, dziś mi się w niczem nie powodzi, to też chciałbym zjeść twoje źrebię.

— Szanowny wilku, — odpowie kobyła. — Bardzo szczęśliwa i poczytuję sobie za wielki zaszczyt, że taka poważna osoba zapragnęła kosztować mojego źrebięcia. Proszę cię tylko, pomóż mi naprzód. W tylnej nodze mam bolesną ranę, a słyszałam, że jesteś znakomitym lekarzem. Ty jeden możesz mnie z tego wyleczyć.

— Znakomity lekarz! — pomyślał wilk z zadowoleniem, — pierwszy raz o tem słyszę, ale skoro ona tak mówi, to musi być prawda.

— Pokaż mi no nogę, — rzekł do kobyły.

Przybrawszy poważną minę, podszedł bliżej, ażeby dobrze obejrzeć nogę. W tej chwili klacz uderzyła go w łeb kopytem tak mocno, że stracił przytomność, a klacz ze źrebięciem uciekła.

Po odzyskaniu zmysłów, wilk okropnie się rozgniewał na kobyłę za jej podstęp. Ale pomyślawszy chwilę, jął złorzeczyć sam sobie:

— Dobrze mi tak! Nie powinienem był udawać lekarza, kiedy nim nie jestem. Dzięki Bogu i za to, że choć głowa cała.

Uczuwszy głód, przypomniał sobie, że lis rozkował mu dzień pomyślny i pobiegł dalej.

Pobiegł do młyna. Widzi, pasie się świnia z prosiętami.

Zapłonęły ślepie wilkowi.

— Miła świnko! Nie powodzi mi się dziś we



wszystkiem, muszę więc zjeść najpiękniejsze z twoich prosiątek.

— Jakżem szczęśliwa, jakżem rada, panie wilku, że taka zacna osoba pragnie skosztować mojego prosięcia. Ale racz pan spojrzeć, jakie to zamorusane. W takim stanie nie może być odpowiedniem dla zacnej osoby. Pozwólże mi pan je obmyć i czyściutkie wręczyć waszmości.

— Waszmości! — pomyślał, — jestem zacną osobą! Pi! A ja nie wiedziałem o tem. Ale świnia nie nazywałaby mnie w ten sposób, gdyby tak nie było.

— Dobrze, umyj go, — zgodził się wilk i usiadł na brzegu.

Świnia z prosiętami, nie tracąc czasu, weszła w wodę, a wilk nie zdążył się zorjentować, gdy już przepłynęła rzekę i ukryła się pod młynem.

Spostrzegłszy, że zdobycz mu się wyslizgnęła, wilk zaczął złorzeczyć świni a potem samemu sobie.

— Dobrze mi tak, — szepnął, — pocom chciał być wielką osobą, kiedym nią nigdy nie był. I oto takie głupie zwierzę jak świnia, zdołało mnie podejść. No, ale nie ma co tracić nadziei; lis wróżył mi powodzenie. Poczekajmy chwilkę, chociaż jeść mi się chce okrutnie.

Pobiegł dalej i przybiegł na pole, gdzie biło się dwóch kozłów, waląc się okrutnie łbami.

— Mięso kozie niebardzo smaczne! — skrzywił się wilk, — ale głód nie pyta. Kto nie jadł od rana, ten musi się zadowolić i kozłina.

— Miłe koziołki! — zwrócił się wilk do kozłów. — Mam dziś dobry humor i jeden z was musi mi się dostać na ząb.

— Bardzo to nam pochlebia, panie wilku, że taka wybitna osoba, jak pan, pragnie jednego z nas spożyć,—odparły kozły,— ale wpierw musimy rozstrzygnąć spór, do kogo z nas ma należeć pole. Nawet sędzia nie umiał nas pogodzić; pan, jako biegły prawnik, uczynisz to najlepiej. Posiedźże pan śród pola i pomyśl, a my odejdziemy na okrainy i puścimy się stamtąd pędem do pana. Kto pierwszy nadbiegnie, ten stanie się władcą pola.

— Biegły prawnik! Pierwszy raz słyszę. Ale kozły tak nie gadałyby, gdyby tak nie było, — pomyślał wilk i rzekł do kozłów:

— No, dobrze; dalej!

Kozły rozleciały się, zbiegłszy się znowu, bodnęły wilka z taką siłą, że o mało dusza mu na wierzch nie wyszła. Wilk stracił przytomność, a kozły uciekły.

Odzyskawszy zmysły, wilk zaczął złorzeczyć kozłom za podstęp, nie oszczędził też i siebie.

— Dobrze mi tak! Nie powinienem był udawać wielkiego prawnika, skoro nim nie jestem.

Głód mu wielce doskwierał, postanowił tedy iść dalej w nadziei, że trafi na coś dobrego; wszak lis wróżył mu dobry dzionek.

Wkrótce przyszedł na łąkę, gdzie pasło się duże stado owiec.

„O, to pięknie!” — pomyślał i zwrócił się do owiec z takimi słowami:

— Miłe owieczki, źle powodzi mi się dzisiaj, to też muszę jedną z was spożyć.

— Najszanowniejszy panie wilku, — odpowiedziały owce. — Bardzo nam pochlebia, że taki poważny jegomość chce jedną z nas skosztować. Ale wpierw pozwól pan, że załatwimy nasze interesy. Nie mamy pierwszego głosu. Nasz piękny, wielki baran, który miał u nas zawsze głos pierwszy, zdechł właśnie; szukałyśmy zastępcy, aleśmy nie znalazły. Sam los zlitował się nad nami, zsyłając nam pana. Wiemy, że z pana wielki śpiewak. Zarządź więc pan nami, jak się należy; a potem wybierz sobie pierwszą lepszą na zakąskę.

— Patrzcie, państwo, to ze mnie słynny śpiewak, anim tego przypuszczał! Ha, cóż, trzeba je pocieszyć. — Hola, słuchajcie! — zawołał do owiec i wlaższy na dach szałas, pod którym stały owce, usiadł i zawył, wymachując łapą, jak kapelmistrz pałeczką.

Owce beczwały co sił, wilk wył. Na ten piekielny koncert zbiegła się cała wieś. Za ludźmi przyleciały psy. Wilk tak się zapalił, że nic nie widział. Nagle ktoś z całej siły uderzył go w łeb i biedaczysko stoczył się z dachu.

Na to psy jęły go szarpać, ludzie bić i kłuć tykami, widłami, wszystkim, co było pod ręką. Zbity, poraniony, wilk ledwie z życiem uszedł.



Wpadłszy w krzaki, leżał i jęczał, przeklinając owce, które go tak zwiodły.

— Dobrze mi tak, ośle! Czemużem uwierzył, że jestem słynnym śpiewakiem! — urągał sobie wilk. — Przez tę głupią zarozumiałość, nawet tak marne zwierzęta, jak owce, potrafiły zadrwić sobie ze mnie. Ha, cóż zrobić; trzeba o głodzie wracać do domu. A zresztą, wszak na drodze zostało mięso. W braku laku, dobry i opłatek.

Z trudem powlókł się wilk do domu, nieustannie zatrzymując się dla odpoczynku. Przyszedszy do miejsca, na którym zostawił mięso, już go nie znalazł. Lis je już dawno zjadł.

I tak próżne wilczysko poszło spać o głodzie.

## DJABEL I ŻEBRAK.

Pod lasem, u stóp góry, stała chateczka, w której nikt nie chciał mieszkać, gdyż każdemu, kto się w niej osiedlił, umierały dzieci. To też stała pustkami.

Pewnego razu obok chatki przechodził żebrak zatrzymał się i rzekł:

— Niech Bóg pomoże gospodarzowi.

— Czego chcesz? — zapytał go djabeł.

— Jestem biedny i nie mam gdzie głowy przytułić.

— Możesz tu zostać; tylko powiedz żonie, ażeby co sobotę myła podłogę w izbie i pilnowała dzieci, ażeby nie łąziły na piec; tam ja mieszkam.

Został biedak i zaczął prowadzić żywot spokojny i wygodny. Żona co sobotę myła podłogę, a szczególnie dawała baczenie, ażeby dzieci nie włożyły na piec. I tak wszystko szło im dobrze. Nastala zima. Lichą miewał robotę ojciec rodziny, a teraz i tej mu zabrakło. Nędza stukala do drzwi. Pewnego wieczora zebrana rodzina siedziała przy stole, dojadając ostatniego ziemniaka z solą. Ojciec głośno użalał się na swoją dolę. Usłyszał to djabeł, zlął z pieca i niewidziany przez nikogo, zbliżył się do biedaka i rzecze:

— Z niedzieli na poniedziałek idź o północy na smoczą górę, zetnij stary dąb i kop pod nim. Skończy się twoja nędza. Ale sza, nikomu ani słówka o tem!

Przyszła niedziela. Nie mówiąc nic nikomu, biedak, z nastaniem nocy, wziął topór i łopatę i poszedł po głębokim śniegu na smoczą górę. Zegar wiejski wybił godzinę dwunastą. Biedak wziął się do rąbania dębu, zwałił go i jał kopać ziemię. Pracował tak, że pot ciurkiem lał się z niego. Nagle łopata brzękła. Pokazał się kociołek pełen złota. Biedak zabrał go i poszedł do domu. Przed świtem był już na miejscu; garnek schował za chatą w szczelinie skały. Skończyła się nędza. Ile wziął pieniędzy z garnka, nie ubywało ich wcale: kociołek zawsze był pełny.

Żona biedaka stała się żoną bogacza; rozleśniła się, zaprzestała pracy i nie pilnowała dzieci. Dzieci laziły na piec, dokazywały i tak się djabłu

dały we znaki, że, niewidziany przez nikogo, wyskoczył i szepnął ojcu:

— Mówiłem ci, iż masz dzieci doglądać. Sameś sobie winien. Jutro wszystkie twoje dzieci powymierają.

I troje dzieci umarło.

Na tem się bieda jeszcze nie skończyła. Ludzie dowiedzieli się pomału, że biedak się wzbogacił i jęli się dopytywać, skąd ma pieniądze. Żona zaczęła się stroić. Sąsiadki zazdrościły jej w duszy, a schlebially w oczy i tak zręcznie zabrały się do niej, że wypaplała wszystko.

Pewnego razu, gdy zbogacony biedak siedział przy wieczerzy, przystąpił doń djabeł i rzekł:

— Wynoś się stąd, jeżeli ci życie miłe.

Przerażeni, mąż i żona wybiegli z chaty, a w tej samej chwili znikła i chata i garnek z pieniędzmi.

Biedak po dawnemu zaczął chodzić i żebrać.

---



## 7. Bajki morawskie.

### DLACZEGO PSY Z KOTAMI, A KOTY Z MYSZAMI PROWADZĄ CIĄGLĄ WALKĘ?

Od człowieka, którego Stwórca uczynił królem wszystkich zwierząt, psom nadane zostało zaszczytne prawo pilnowania jego własnej osoby, strzeżenia jego stada i wartowania przy jego majątku. Prawo to zostało spisane w oddzielnej ustawie i wręczone psom. Psy wbiły się w wielką pychę, a koty jęły im zazdrościć. Na walnej naradzie koty uchwałyły—wykraść ustawę psom. Wykradły i schowały do spichrza pod składem różnych rupieci. Jedna myszka zwąchawszy coś do jedzenia, wcisnęła się pod skład rupieci, znalazła drogocenny dokument i uradowana powiedziała o tem koleżankom. Zebrały się myszy i jęły radzić, co im uczynić wypada ze znalezionym skarbem. Długo nie mogły zgodzić się na jedno, a nakoniec mysz najstarsza rzekła:

— Siostry, zdaje mi się, że najlepiej będzie zjeść ten dokument. Wtedy nie będziemy się bały, że go nam odbiorą.

Rada spodobała się wszystkim myszom. Bez straty czasu, rozerwały ustawę na kawałki i schrupały ją bez śladu.

Po upływie pewnego czasu u psów był zjazd. Niektóre psy, z młodych, zapragnęły spojrzeć na dokument, potwierdzający prawa, nadane im przez człowieka. Zwróciły się do psa, któremu dokument był powierzony, ten zaś, rad nie rad, musiał się przyznać, że koty go wykradły. Psy do kotów, żądając, bądź co bądź, zwrotu dokumentu. Koty z początku zapierały się, ale widząc, że nic nie pomaga, przestraszyły się i dalej szukać go w rupieciach. Ale w rupieciach dokumentu nie było. Ktoż mógł się tam dostać? Tylko myszy. To też koty rzuciły się na myszy. Ale myszy nie mogły oddać dokumentu, bo go zjadły. Odtąd zaczęły się ciągle nieporozumienia pomiędzy psami i kotami z jednej, a pomiędzy kotami i myszami z drugiej strony. Przechodząc z pokolenia na pokolenie, waliki te nie ustały do dnia dzisiejszego.

## DOBRY HUMOR TO SKARB NIEOCENIONY.

Pewien król miał trzy córki. Myśląc o śmierci, zapragnął jedną z córek uczynić swoją spadkobierczynią, ale nie wiedział którą. Woła tedy córki i rzecze:

— Która z was najbardziej mnie kocha, ta będzie dziedziczyć po mnie. Wybierze sama sobie męża i będzie rządzić. Powiedzże mi, najstarsza córko, dumna i wyniosła duszo, jak ty mnie kochasz?

— Kocham cię, jak własny honor i dobre imię, — odparła najstarsza córka, — cześć i dobre

Imię są mi droższe niż życie i ty, ójcze, droższy mi jesteś nad życie.

Król zamyślił się, ale nic nie odpowiedział i zapytał drugą córkę.

— A ty, córko moja, mądra i uczona, jak ty mnie kochasz?

— Nie zgadzam się z siostrą,—odpowiedziała średnia córka. — Myślę, że bez honoru i dobrego imienia przeżyć można, o ile się ma spokojne sumienie i o ile się jest zdrowym i bogatym. Dla mnie najwyżej stoi rozum i kocham cię tak, jak swój rozum. Gdybym była pozbawiona rozumu, to niechbym raczej nie żyła na świecie. Życie bez rozumu to śmierć ducha i ciała. To też i ja cię kocham nad życie.

Król się namyślił, ale nic nie rzekł i zapytał najmłodszą córkę:

— No, a ty, dobra i wesoła dziecino moja, otucho i pociecho mojej starości, jak ty mnie kochasz?

— Ach, drogi ojczulku, — odpowiedziała najmłodsza, — jesteś dla mnie droższy od pieśni, od śmiechu i od wszelkiej uciechy, a wiesz, że ja to wszystko bardzo lubię.

Król zmartwił się. Odpowiedź najmłodszej i najukochańszej córki wcale mu się nie spodobała. Kazał ją odwieźć do lasu, umieścić w odosobnionym domku i trzymać o chlebie i wodzie, dopóki się nie opamięta.

Już chciał podzielić królestwo na dwie części



i oddać je starszym córkom, ale najbliższy przyjaciel króla, szanowny starzec, poradził mu, ażeby się wstrzymał jeszcze jeden rok i potem dopiero orzekł coś stanowczego.

Król zgodził się, ale niemało się przez ten rok nacierpiał. Dawniej, pośród trosk i kłopotów o dobro podwładnych, czas leciał mu jak na skrzydłach. Dziś, dnie i noce ciągnęły się bez końca, kłopoty o podwładnych ciążyły mu, zabawy przestały mieć urok, spokój ducha go opuścił. Zawołał obie córki i prosił, ażeby rozerwały mu smutki i przywróciły spokój jego duszy. Starsza córka radziła wszystko traktować spokojnie i obojętnie i pocieszać się tem, że się ocaliło honor i dobre imię. Druga namawiała do cierpliwości, twierdząc, że dopóki człowiek posiada rozum i mądrość, dopóty wszystko zniesie. Mowy nie pocieszały króla, lecz go drażniły tak, że odpędził córki. Coraz częściej i częściej wychodził z zamku w towarzystwie swego przyjaciela, szanownego starca i coraz to ciągnęło go coś w tę stronę, gdzie za ogrodem widać było las ciemny, w którym znajdował się domek jego córki najmłodszej. Pewnego razu król doszedł aż do brzegu lasu, ale zawrócił. Innym razem wszedł już w głąb lasu, ale zawrócił. Nie pił, nie jadł prawie, zestarzał się i schudł. Nikogo nie chciał widzieć, oprócz starego przyjaciela. Szanowny starzec, widząc że jeżeli to potrwa dalej, to król umrze, kazał zaprząć do wygodnego powozu i zawiózł króla w tę stronę, gdzie się znaj-

dował domek wypędzonej córki. Nie dojeżdżając do domku, już usłyszeli śpiewy i wesoły śmiech, który dźwięczał w uszach króla, jak najcudniejsza melodia. Serce silnie mu bić zaczęło.

— Kto to śpiewa, jak tysiące słowików? — zapytał król.

— To twoja córka najmłodsza, — odparł starzec, — śpiewa, śmieje się i wraca cię do życia.

Król kazał przywołać córkę najmłodszą i serdecznie ją uściskał. Przekonał się, że dobry humor, to najcenniejszy z darów Bożych. Oddał też któślestwo swojej córce najmłodszej. Ona wybrała sobie na męża ubogiego rycerza, była zawsze wesoła i wszyscy jej podwładni byli również weseli.

Król przeżył jeszcze długo i umarł z uśmiechem na ustach.

## GLUPI JASIEK.

Jasiek był jedynym synem zamożnego gospodarza, który niczego nie szczędził, byleby wykierować go na człowieka, ale napróżno. Wszak rozumu nie sprzedają w aptece, a komu Pan Bóg odebrał zmysły, temu ich nie wkleisz! Próbował ojciec posyłać Jaśka do szkoły, ale nie nauczył się nawet abecadła; odpowiadał tak od rzeczy, że wszyscy uczniowie śmiali się, a nauczyciel musiał odesłać go zpowrotem do ojca.

Jasiek był okrutnie szczęśliwy, że się pozbył szkoły. Przyszedł do domu, siadł na ławce, założył

nogę za nogę i zabrał się do żucia chleba. Dowiedziawszy się, co zaszło, ojciec rozgniewał się, ale, rad nie rad, musiał syna zostawić w domu. Jął go przyuczać do roboty. Jasiek był posłuszny, robił wszystko, co mu kazano, ale gdzie wypadło rządzić się własnym rozumem, tam na nic się nie zdał.

Czas mijał. Ojciec się postarzał i jął myśleć, jakby to ożenić syna, w nadziei, że żona nim będzie kierowała. Ale nie tak to było łatwo. Okoliczne dziewczęta znały Jasia, i nie chciały iść za niego. Nareszcie wyszukał ojciec biedną sierotę, dla której przytułek i zapewniony kęs chleba, wydały się wielkiem szczęściem, tak, że zgodziła się zostać żoną Jaśka.

Umarł ojciec i Jasiek zaczął gospodarować. Tożto była gospodarka! Gdyby nie Jaśkowa, wszystkoby zmarniało!

Pewnego roku wypadł nieurodzaj. Nie było ani zboża, ani siana, ani słomy. Żona mówi do Jaśka:

— Idź, sprzedaj nasze woły; na wiosnę, możemy je sobie znowu kupić. Pamiętaj tylko, nie bierz mniej dwustu i nie dawaj na kredyt.

Jasiek poszedł. Idzie sobie lasem i gapi się w obie strony. Gdyby trafił na złodzieja, to z łatwością oderżnąłby mu woły i zabrał, jak swoje. Przychodzi Jasiek do wielkiego dębu i przyszło mu na myśl, czy ten dąb nie kupi wołów od niego.

— Hej! nie kupiłbyś wołów odemnie? — zapytał Jasiek.



Był wiatr silny i wierzchołek dębu ruszał się. Jaśkowi się wydało, że dąb kiwa głową na znak, że się zgadza.

— Dasz dwieście?

Wierzchołek poruszył się znowu.

— No to dawaj pieniądze, a może nie masz?

Wierzchołek ruszał się ciągle.

— No, dobrze, poczekam ale nie dłużej nad dwa tygodnie. Oddasz za dwa tygodnie?

Dąb poruszył się, jak gdyby mówił: „tak!”

— Pamiętaj, że jeżeli nie dotrzymasz słowa, to cię zarąbię, jak psa!

Wraca Jaś do domu.

— Sprzedałeś?—zapytuje żona.

— Sprzedałem! — odpowiada Jasiek, jak gdyby nigdy nic.

— A gdzie pieniądze?

— Dostanę za dwa tygodnie.

— Komużeś sprzedał bez pieniędzy? — Spytała żona, zaniepokojona nie na żarty.

— Staremu dębowi w lesie — odparł Jasiek, a spostrzegłszy, że żona płacze, zaczął ją pocieszać.

— No czego, głupia, płaczesz. Ja mu pogroziłem, że go zarąbię, jeżeli mi nie zapłaci.

Żonie smutno się zrobiło, że ma takiego idjotę za męża i nie rozmawiała z nim przez całe dwa tygodnie.

Sprzyskrzyło się to Jaśkowi; wziął topór i poszedł do dębu. Przychodzi i widzi, że po jego wołach zostały tylko rogi.

— No, stary, dawaj no pieniądze za woły .  
Ale dąb nie ruszał się, bo wiatru nie było.

— Czy nie słyszysz? — I Jasiek powtórzył  
żądanie.

Dąb ani drgnął.

— Takiś ty kupiec! Woły zjadłeś, a pieniądze oddać nie chcesz! Wszak ci mówiłem, że jeżeli nie dotrzymasz słowa, to cię zaramię, jak psa. Masz że, kiedyś taki: bęc! bęc! bęc!

Ale zaledwie Jasiek uderzył kilkakrotnie po  
dębie, gdy wypadła zeń kobiałka z pieniędzmi.

— Aha! Musiałeś oddać!

Jasiek porwał kobiałkę i pobiegł do domu.

— Żono, żoneczko! — zawołał, — nie chciał  
szelma oddać, ale siłą wziąłem. Spójrz!

Żona oczom własnym wierzyć nie chciała. Ale  
zobaczywszy tyle pieniędzy, pogodziła się z Jaś-  
kiem, a on przechwalał się wszędzie, opowiadając,  
jak wymógł na dębie pieniądze.

Ale już drugi raz nie dano mu wołów na  
sprzedaż; żona nie dowierzała mu.

Zajęła się wszystkim sama, ale z Jaśkiem  
żyła w zgodzie, bo chociaż był głupi, ale dobry  
człowiek.

---

## 8. Bajki polskie.

### WILK I CZŁOWIEK.

Lis opowiadał wilkowi o potędze człowieka, której żadne zwierzę oprzeć się nie zdoła. Tylko chytrąścią można się utrzymać.

— O, gdybym ja spotkał człowieka, dałbym mu prawdziwą nauczkę!

— Pomogę ci, — mówi lis, — przyjdź do mnie jutro wczesnym rankiem, to ci pokażę człowieka.

Wilk stawiał się o porze oznaczonej. Lis wyprowadził go na drogę, którą codzień strzelec chodził. Najpierw ujrzeni starego żołnierza.

— Czy to człowiek? — pyta wilk.

— Nie, ale był niegdyś człowiekiem.

Potem zobaczyli chłopczyka, idącego do szkoły.

— Czy to człowiek? — pyta wilk.

— Nie — mówi lis, — dopiero będzie kiedyś człowiekiem.

Wkońcu nadszedł strzelec z dubeltówką na plecach i kordelasem u boku.

— Widzisz, oto idzie człowiek. Rzuć się na niego, a ja ucieknę do nory.



Wilk ruszył na człowieka. Strzelec, ujrawszy go, powiada:

— Szkoda, że nie nabiłem strzelby kulą — i strzelił śrutem prosto w głowę wilka.

Wilk skrzywił się niemiłosiernie, ale nie dał się odstraszyć. Strzelec wypuścił na niego drugi ładunek. Wilk zacisnął zęby i rzucił się na człowieka, ale ten dobył kordelasa i zadał mu kilka cięć porządných w prawo i w lewo.

Wilczyisko, cały krwią zalany, wyjął uciekł do lisa.

— Cóż bracie, — pyta lis, — jakże ci poszła walka z człowiekiem?

! — Nie wyobrażałem sobie, że taki potężny! Najpierw wziął kij, który miał na plecach, dmuchnął weń i coś padło mi na pysk, co mię okrutnie bolało. Potem dmuchnął drugi raz i coś znowu w nogi rzucił, zupełnie jakby błyskawice i grad. A gdym się na niego rzucił, wydobył żebro z boku i tak mnie niem uczyłował, że ledwo z życiem uszedł.

— Widzisz, — mówi lis, — przechwalałeś się, a teraz musisz pokutować.

## LIS I GĘSI.

Lis pobiegł raz na łąkę, na której pasło się stado dobrze utuczonych gęsi. Zaśmiał się i zawołał:

— Przychodzę jakby na zawołanie! Siedzicie tu razem i mogę was schrupać jedną po drugiej.

Gęsi zagęgały przerażone, zerwały się i uderzyły w jęki błagania, aby lis darował im życie.

Lis na nic nie zważał, tylko zawołał:

— Niema łaski, musicie umierać!

Wkońcu jedna gąska zebrała się na odwagę i powiada:

— Jeżeli już mamy koniecznie umierać, to prosimy cię o jedną tylko łaskę. Pozwól nam się pomodlić i pożałować za grzechy. Potem staniemy rzędem i będziesz wybierał, którą zechcesz.

— Pozwalam. To prośba pobożna. Módlcie się, poczekam aż skończycie.

Więc pierwsza rozpoczęła długą modlitwę.

— Gę, gę, gęgę..., i nie skończyła.

Druga zniecierpliwiła się i zaczęła także:

— Gę, gę, gę, gę...

Za jej przykładem poszła trzecia i tak wkrótce wszystkie gęgały na całe gardło.

(Gdy skończą modlitwę, opowiem, co dalej było. Ale one wciąż jeszcze gęgają).

## KOŃ, WÓŁ, KOGUT, KOT I RAK.

Wieśniak jeden zaprzągnął do pług konia i wołu. Wół szedł powoli, koń prędko, obu było niewygodnie i obaj męczyli się niepotrzebnie.

— Prożno nas trzyma gospodarz, — dowodził. — Ciężko nam, a z roboty naszej nikt nie ma pożytku. Pójdźmy lepiej na wolność i sami postarajmy się o sposoby do życia.

Tak też i zrobili.

Szli i szli, nagle przybiega do nich czupurny kogut i pyta:

— A dokąd to, sąsiedzi?

— Gospodarz źle nas żywi i niepotrzebnie męczy; poszliśmy więc dokąd nas oczy poniosą, — odparli podróżni.

— To i ja idę z wami, — rzekł kogut.

— A tobie poco? Ziarna ci dają dosyć, siedzisz w wygodnym kurniku, a choćbyśmy cię nawet zabrali ze sobą, to nie nadążysz za nami.

— Dobrze wam mówić! Posłuchajcież, jakie mam życie. Mam ja niby wszystkich budzić. Otóż, jeżeli rano zapieję kukuryku, robotnicy biją mnie, d'aczego im spać nie daję. Spóźnię się, gniewa się gospodyni. Zaco karmić takiego wartogłowa. Gotowi mnie jeszcze zarznąć i upiec. Taka to moja dola. Ale nie bójcie się; będę leciał i was nie obciążę.

— No to idź z nami, — rzekli koń i wół.

Kogut leciał i piał kukuryku; było im nawet weselej.

Idą i idą. Nagle, ni stąd ni zowąd wyskakuje kot i woła:

— Miau, miau, dokąd idziecie?

Podróżni opowiedzieli kotowi poco i naco podróżują, on zaś powiada:

— I ja z wami.

— A tobie poco? oblizujesz wszystkie półmiski w kuchni, pijesz mleka do syta i mruczysz sobie na piecu.



— Dobrze wam mówić! Gdybyście byli w mojej skórze, inaczej byście gadali. Myszom nie można podolać w spiżarniach i spichrzach, a tu są i szczury; rób co chcesz. Gospodyni urąga, krzyczy, że kot spał się, że się rozleniwił; a ja walczę ze szczurami nie na życie, lecz na śmierć. Nie, dość mam tego. Niech żyje wolność!

I skoczył koniowi na grzbiet. Roześmieli się wszyscy i poszli dalej.

Idą i idą, wtem, widzą, że pełza rak za nimi.

— Stójcie, stójcie, szermierze wolności; i ja z wami!

Ze zdziwieniem spojrzeli podróżni na raka i zaczęli zeń podrwiwać.

— Czyż tobie źle na świecie? Wyrzewasz się na słońcu, lub kąpiesz się w wodzie!

Nie znacie wcale spraw moich, przyjaciele, — rak im odpowie. — U nas tak: Dopókiś młody, siedź w norze bezpiecznie. A gdy podrośniesz, szukaj sobie schronienia na brzegu, a dziurę ustąp młodszemu. Łazisz sobie po brzegu, a tu chaps! — łapia cię, jak swego! Wierzajcie i rakowi życie nie w smak. Idę z wami, co będzie, to będzie.

Rak uczeplił się kleszczami za ogon wołu i tak w pięcioro szli dalej w dobrej zgodzie. Na popasach, koń z wołem skubali trawę na łące, rak wyszukiwał wodę dla nich i dla siebie, kot łapał myszy i ptaszki i zabawiał towarzystwo różnemi figlami, kogut zbierał ziarnka i był niejako na czatach. Wszyscy byli szczęśliwi i zadowoleni.

Pewnego razu przyszła burza z deszczem. Rak lepiej od innych znosił wilgoć, ale reszta dygotała z zimna. Jęli wzdychać do strzechy. Na brzegu lasu spostrzegli opuszczoną chatę, w której mieszkał djabeł z djablikiem. Obaj byli w odwiedzinach u czarownicy i chatka była niezamknięta. Podróżni weszli do niej.

— Ja lubię chłodek i zostanę w sieni, — rzekł koń.

— A ja wolę ciepło — i wół wszedł do izby.

— Moje miejsce pod stropem, — oświadczył kogut i frunął pod sufit.

Kot wskoczył na piec, rak ukrył się w kubie z wodą. W ten sposób wszyscy umieścili się jak najwygodniej.

O północy djabły powróciły z gościny. Stary djabeł wszedł do sieni, a natknąwszy się na konia, zapytał:

— Kto tu?

— Jam pan z tabakierką, może chcesz tabaczki? — rzekł koń. To mówiąc kopnął djabła w mordę tak mocno, że aż mu krew pociekła z nosa.

Djabeł wpadł do izby i natknąwszy się na wołu, pyta:

— Kto tu?

— Ja, parobek z widłami, — odparł wół i podniósł go w górę rogami.

Z trudem odzyskawszy przytomność, djabeł rzucił się do pieca. Ale tu wpadł nań kot i zaczął

go drapać. Djabeł do kubła, lecz stamtąd wypelził rak i cap go za łydkę.

Djabeł uciekł na strych, ale tam kur zapiał. Niepomny siebie ze strachu, djabeł wybiegł z izby i puścił się w las, a za nim djablik. Wkrótce obaj znikli w gęstwinie.

A nasi przyjaciele, opanowawszy izdebkę, żyli w niej długie lata.

## STOLIK „NAKRYJ SIĘ“, ŻŁOTY OSIEŁ I KIJ SAMOBIJ.

Był krawiec przed laty. Miał trzech synów i jedną kozę. Kozą musiała mieć dobre pożywienie; trzeba było prowadzić ją codzień na paszę, bo żywiła wszystkich mlekiem swoim. Synowie pasali ją po kolei. Razu jednego najstarszy zaprowadził ją na cmentarz, gdzie były zioła najpiękniejsze. Pasła się i skakała. Wieczorem, kiedy czas było wracać do domu, pyta kozy:

— Czy jesteś syta?

A koza mu na to:

„Jestem syta, najedzona,  
Nie nęci mnie trawka zielona.  
Mee, mee!“

— To chodź do domu, — mówi chłopiec.

Wziął powróż, zaprowadził ją do obórki i uwiązał.

— Czy koza miała dosyć pożywienia? — pyta krawiec.



— O, jest syta, najedzona, nie nęci jej trawka zielona, — mówi syn.

Ale ojciec chciał się sam przekonać, poszedł do obórki, pogłaskał stworzenie i pyta:

— Kózko, czy jesteś syta?

Koza mu na to:

„O nie, nie, nie!

Bom po rowach skakała,

A trawkim nie skubała.“

— Co słyszę! — krzyknął krawiec.

Biegnie do chłopca i woła:

— Kłamco jeden! — Mówisz, że koza syta, a wygłodziłeś ją!

I w gniewie, porwał łokieć ze ściany, obil chłopca i wypędził.

Nazajutrz, przyszła kolej na drugiego syna. Wyszukał on w ogrodzie miejsce zarosłe samem zielskiem, które koza wyjadła do czysta. Wieczorem, gdy miał wracać, pyta:

— Kozo, czyś syta?

A koza na to:

„Jestem syta, najedzona,

Nie nęci mnie trawka zielona.

Mee, mee!“

— To chodź do domu, — powiada chłopiec.

Pociągnął ją do domu i przywiązał w obórce.

— A co? — pyta krawiec, — czy koza nakarmiona.

— O, jest syta, najedzona, nie nęci jej trawka zielona, — mówi syn.

Krawiec nie chciał temu wierzyć. Sam idzie do obórki i pyta :

— Kozo, czyś syta?

A koza na to :

„Oj nie, nie, nie!

Bom po rowach skakała,

A trawkim nie skubała!

Mee, mee!“

— Łotr bezbożny! — krzyknął krawiec, — głodźć tobie pocziwe zwierzę!

Poszedł do domu i łokciem chłopca wypędził.

Przyszła kolej na trzeciego syna. Ten chciał się dobrze sprawić. Wyszukał krzaków z liściem najpiękniejszym i paśł niemi kozę. Wieczorem, kiedy mieli wracać, pyta :

— Kozo, czyś syta?

A koza na to :

„Jestem syta, najedzona,

Nie nęci mnie trawka zielona!

Mee, mee!“

— To chodź do domu, mówi chłopiec.

Zaprowadził ją do obórki i uwiązał.

— A co? — pyta krawiec, — czy koza miała dosyć pożywienia?

— O, jest syta, najedzona, nie nęci jej trawka zielona.

Krawiec nie wierzył; idzie do obórki i pyta :

— Kozo, czyś syta?

A koza na to :

„Oj nie, nie, nie,

Bom po rowach skakała,  
A trawkim nie skubała,  
Mee, meel“

— O łgarze przekłecil! — krzyknął krawiec. —  
Jeden w drugiego bezbożny i niedbały. Nie wy-  
strychniecie mnie już na dudka!

I w złości pobiegł do domu i wygarbował  
plecy chłopakowi, tak, że aż ten z domu uciekł.

Stary krawiec został sam z kozą. Na drugi  
dzień poszedł do obory, pogłaskał kozę i mówi:

— Chodź, zwierzątko moje drogie, zaprowadzę  
cię sam na paszę.

Wziął powróż i zaprowadził ją w krzaki, ulu-  
bione przez kozy.

— Choć raz nasycisz się dowoli, — mówi i  
paś ją aż do wieczora.

Wtedy pyta:

— Kozo, czyś syta?

A koza na to:

„Jestem syta, najedzona,

Nie nęci mnie trawka zielona.

Mee, meel“

— Więc chodź do domu, — rzecze krawiec.

Zaprowadził ją do obórki i uwiązał. Kiedy miał  
odchodzić, zawrócił się raz jeszcze i mówi:

— Najadłaś się raz przecie?

Ale koza zawołała jak poprzednio:

„Oj nie, nie, nie,

Bom po rowach skakała,





A trawkim nie skubała

Mee, meel“

Usłyszawszy to, krawiec zdumiał się i pojął, że wypędził synów niesłusznie.

— Poczekajże, niewdzięczne stworzenie! — krzyknął. — Wypędzić cię z domu, to za mało. Dam ci taką nauczkę, że się już nie pokażesz pomiędzy uczciwymi krawcami.

Śpiesznie skoczył, przyniósł brzytwę, namydlił kozie głowę i ogolił ją, jak kolano. Ponieważ bić łokciem byłoby to dla niej za wiele honoru, chwycił więc bat i zaczął ją tak okładać, że w wielkich susach uciekła.

Krawiec wpadł w ciężki smutek, zostawszy sam jeden w domu. Chciałby mieć synów przy sobie, ale nikt nie powiedział, gdzie się podzieli. Najstarszy wstąpił do stolarza na naukę. Uczył się pilnie i wytrwale. Gdy nadszedł czas wyzwolin, mistrz darował mu stolik ze zwyczajnego drzewa. Nie wyglądał osobliwie, ale miał przymiot znakomity. Trzeba go było tylko postawić i powiedzieć: „Stoliku, nakryj się!“ a nakrywał się zaraz czystym obrusem, zjawiały się na nim: talerz, nóż i widelec, misy z potrawami warzonymi i pieczonymi i błyszcząca szklanka wina czerwonego tak, że aż się serce śmiało.

Czeladnik pomyślał sobie:

— Wystarczy mi tego na całe życie — i ruszył wesół i z dobrą myślą w świat daleki.

Nie troszczył się wcale o to, czy gospoda zła

czy dobra i czy można czego w niej dostać, czy nie. Jeśli mu się podobało, to nie zachodził nigdzie, tylko na polu, na łące, w lesie, gdzie miał ochotę, zdejmował stolik z ramion, stawiał przed sobą, mówił:

— Stoliku, nakryj się! — i miał wszystko, czego serce zapragnie. Wkońcu przyszło mu na myśl wrócić do ojca. Gniew jego może się ułagodził, a ze stolikiem samokarmem przyjąłby go pewnie. Ale zdarzyło się tak, że wracając, wstąpił wieczorem do karczmy. Było tam pełno gości, którzy go pozdrowili i zaprosili, żeby usiadł i jadł z nimi, bo pewno już nie dostanie niczego.

— Nic, — odpowiada stolarz, — nie chcę jednak wam odejmować tej odrobiny; wolę was sam ugościć.

Śmiano się, myśląc, że to żarty; ale on postawił swój stolik drewniany na środku izby i powiedział:

— Stoliku, nakryj się!

W mgnieniu oka stolik był zastawiony potrawami tak smaczными, jakichby gospodarz nie mógł dostarczyć i których zapach przyjemnie nęcił gości.

— Dalej, przyjaciele, do jedzenia! — mówi stolarz, a goście nie dali się długo prosić. Przysunęli się, wzięli noże i rażno zabrali się do jedzenia.

Co ich najbardziej dziwiło, to to, że jak tylko misa która wypróżniona została, zaraz druga pełna stawała sama na jej miejscu.

Karczmarz stał w kącie i przyglądał się. Nie



wiedział co na to powiedzieć, ale myślał sobie :  
„Zdałby mi się taki kucharz w gospodarstwie“.

Stolarz i towarzysze jego weselili się aż do późnej nocy. Wkońcu poszli spać. Czeladnik położył się także i postawił stolik przy ścianie.

Karczmarzowi nie dawała spokoju myśl o stoliku.

Przypomniał sobie, że miał na strychu stary stolik, zupełnie podobny. Przyniósł go cichaczem i zamienił na stolik cudowny. Nazajutrz stolarz zapłacił za nocleg, zabrał stolik, nie domyślając się, że zamieniony i poszedł swoją drogą. W południe przyszedł do ojca, który go przyjął z wielką radością.

— No, synu kochany, czego się nauczyłeś?— pyta krawiec.

— Ojcze, jestem stolarzem.

— Dobrze rzemiosło, — odpowiada stary, — ale co przyniosłeś z wędrówki?

— Najlepsze, com przyniósł, ojcze, to ten stolik.

Krawiec obejrzał stolik na wszystkie strony i mówi:

— Na tem nie zyskałeś, bo to stolik stary i wart niewiele.

— Ależ to stolik samokarm, — powiada syn, — jak go postawię i powiem żeby się nakrył, to zaraz stają na nim najsmaczniejsze potrawy i wino. Aż się dusza raduje! Sprowadźcie tylko wszystkich krewnych i przyjaciół, niech się nasycą i pokrzepią, bo stolik nasyci wszystkich.

Kiedy goście się zebrali, postawił stolik na środku pokoju i mówi:

— Stoliku, nakryj się!

Ale stolik ani drgnął i stał pusty, jak każdy inny nie rozumiejący zaklęcia. Biedny czeladnik spostrzegł, że zamieniono mu stolik. Wstydził się, że stał, jak kłamca, a krewni wyśmiali go i musieli wracać do domu bez posiłku. Ojciec zabrał się znowu do krawiectwa, a syn poszedł na robotę do majstra.

Drugi syn krawca dostał się do młynarza i był u niego w terminie. Gdy się wyzwolił, majster powiada:

Zato, żeś się dobrze sprawował, daruję ci osła osobliwszego rodzaju, bo nie ciągnie wozu i nie dźwiga worków.

— Do czego więc służy? — pyta czeladnik.

— Pluje złotem, — odpowie młynarz. — Jeżeli postawisz go na obrusie i powiesz „brikebrik!“ to pocziwe stworzenie płuć będzie złotem bez końca.

— To dobra rzecz, — powiada czeladnik. Pożegnał majstrowi i ruszył w świat.

Gdy potrzebował pieniędzy, mówił tylko do osła:

„Brikebrik“ — i złoto padało jak deszcz tak, że potrzebował tylko z ziemi je zbierać.

Gdzie się pokazał, kupował najlepsze rzeczy, a im były droższe, tem lepiej było, bo miał zawsze pełną kieszeń.

Włóczył się tak czas jakiś po świecie i nareszcie pomyślał sobie:

— Trzeba odnaleźć ojca. Jak mu pokażę zło-

tego osła, to zapomni o gniewie i przyjmie mnie dobrze.

Zdarzyło się, że młynarz dostał się do tej samej gospody, w której bratu zamieniono stolik. Prowadził osła za sobą. Karczmarz chciał wziąć bydlę od niego i uwiązać, ale młody czeladnik powiada:

— E, nie trudźcie się, zaprowadzę sam siwosza do stajni i sam go uwiążę, bo muszę wiedzieć, gdzie stoi.

Karczmarzowi wydało się to dziwnem i myślał, że taki, który sam osła obrządzać musi, nie ma wiele pieniędzy na przejedzenie; ale kiedy nieznajomy sięgnął do kieszeni, wyciągnął dwie sztuki złota i powiedział, żeby mu przyrządzono co dobrego na wieczrę, zrobił wielkie oczy, pobiegł i wybrał, co miał najlepszego. Po uczcie gość pyta, co winien. Karczmarz nie żałował podwójnej kredki i powiedział, że trzeba dołożyć jeszcze ze dwie sztuki złota. Czeladnik sięgnął do kieszeni, ale nie miał więcej pieniędzy.

—Poczekajcie chwileczkę, panie gospodarzu,—mówi,—pójdę tylko i przyniosę złota.

Zabrał obrus ze sobą. Karczmarz nie wiedział, co to ma znaczyć. Zaciekawiony, idzie milczkiem za nim, a że gość zasunął drzwi od stajni, więc podgląda przez szparę.

Czeladnik rozłożył obrus pod osłem i zawołał: „Brikebryk!” i w tejże chwili zwierzę zaczęło wy-



rzucac złoto tak, że padało porządnym gradem na ziemię.

— Tam do licha, — powiada gospodarz, — więc to tak robią się dukaty! Taki worek, to wcale dobra rzecz.

Gość zapłacił za biesiadę i położył się spać, a gospodarz zakradł się w nocy do stajni, wyprowadził osła i postawił innego na jego miejsce.

Na drugi dzień wczesnym rankiem, czeladnik wyruszył z osłem, myśląc, że ma swego osła złotego.

W południe przybył do ojca, który się ucieszył na jego widok i przyjął go chętnie.

— Czemże zostałeś, mój synu? — pyta.

— Młynarzem, ojcie kochany, — odpowiedział syn.

— Cóżeś zyskał na wędrowce?

— Tylko jednego osła.

— Oslów jest tu dosyć, — mówi ojciec, — wołałbym już dobrą kozę niż osła.

— Tak, — mówi syn, — ale to nie zwyczajny osieł, tylko osieł złoty. Gdy powiem „bikerbrik“, to pocziwe stworzenie wyrzuci wam cały obrus pieniędzy. Każcie tylko zawołać wszystkich krewnych, to zrobię z nich ludzi bogatych.

— To mi się podoba, — powiada krawiec, — nie będę potrzebował męczyć się nad igłą.

Sam pośpieszył i zwołał krewnych. Skoro tylko się zebrali, młynarz kazał im usiąść, rozłożył chustkę i wprowadził osła do izby.

— Baczność! — mówi i woła, — brikebrik!

Ale złoto nie padało i okazało się, że osiel nie umie tej sztuki, bo nie każdy ją potrafi.

Biedny młynarz spuścił nos na kwintę, widząc, że jest oszukany i poprosił krewnych, którzy odeszli równie biedni, jak przyszli.

Nie było rady, stary musiał znowu wziąć się do igły, a młody zgodzić się do młynarza.

Trzeciego brata wyzwolił tokarz, a że tokarstwo jest trudnem rzemiosłem, więc musiał terminować najdłużej.

Bracia donieśli mu listownie, jak źle im się powiodło, jak to karczmarz pozbawił ich cudownego dorobku.

Gdy się tokarz wyzwolił i miał odejść, mistrz darował mu w nagrodę przykładnej pracy worek i rzekł:

— W worku tym znajduje się kij.

— Worek zarzucę sobie na plecy i może mi się przydać, ale poco ten kij? To ciężar niepotrzebny.

— A jednak i on ci się nieraz przyda, — odpowie majster.—Gdy ci kto krzywdę zrobi, powiedz tylko: „kiju, wyskocz z worka!“ a kij wyskoczy, wpadnie na ludzi i zacznie ich tak okładać po plecach, że się przez cały tydzień nie ruszą. Bić będzie dopóty, dopóki mu nie powiesz: „kiju, do worka!“

Czeladnik podziękował, zawiesił worek na plecach, a gdy kto zbliżał się zanadto i chciał go skrzywdzić, to mówił tylko:

— Kiju, wyskocz z worka! — a kij wyskakiwał i zanim się kto obejrzał, już trzepał go niemiłosiernie po plecach.

Młody tokarz przyszedł wieczorem do gospody, w której tak oszukano jego braci. Położył worek przed sobą na stole i dalejże opowiadać o tem, co widział na świecie godnego uwagi.

— Bywa, — mówi, — taki stolik samokryj, taki złoty osieł i tym podobne dobre rzeczy, któremi nie gardzę, ale wszystko to nic w porównaniu ze skarbem, który zdobyłem i który mam w worku.

Karczmarz nadstawił uszu.

— Co to może być takiego? — myślał, — pewno worek napelniony drogiemi kamieniami. Powinienem go zdobyć i to tanim kosztem, bo do trzech razy sztuka.

Kiedy nadeszła pora odpoczynku, gość wyciągnął się na ławie i położył sobie worek pod głowę, zamiast poduszki. Karczmarz czekał, a gdy mu się wydało, że gość śpi i twardo, zakradł się i ciągnie a szarpie nieznacznie za worek, próbując, czy mu się nie uda zastąpić go innym workiem.

Tokarz czekał tylko na to, a kiedy gospodarz chciał się odważyć i szarpnąć mocniej, zawołał:

— Kiju, wyskocz z worka!

Kij skoczył na karczmarza i sprawił mu łaźnię, co się zowie. Karczmarz krzychał przeraźliwie, ale im głośniej krzychał, tem silniej kij wybijał mu takt na plecach, aż upadł z bólu na ziemię.

Wtedy tokarz powiada:



— Jeżeli nie oddasz stolika samokryja i złotego osła, to taniec zacznie się na nowo.

— O, nie, nie! — wołał karczmarz pokornie, — oddam wszystko najchętniej, niech tylko to lichy przeklęte wróci do worka.

Na to czeladnik:

— Niech i tak będzie, zlituję się nad tobą, ale pilnuj się dobrze.

Co rzekłszy, zawołał:

— Kiju, do worka! — i kij przestał bić karczmarza.

Nazajutrz, tokarz wyruszył do ojca z cudownym stolikiem i złotym osłem.

Krawiec ucieszył się, widząc go i pyta, czego się nauczył u ludzi.

— Jestem tokarzem, ojcie kochany.

— Oj, to trudne rzemiosło — mówi ojciec. — A cóż przyniosłeś z wędrówki swojej?

— Rzecz drogocenną, ojcie kochany — odpowie: — Kij w worku!

— Co? — krzyknie ojciec, — kij? To nic nie warte. Tam mógłbyś sobie kij wyciąć z byle drzewa.

— Ale nie taki, ojcie drogi, bo jak do tego powiem: „Kiju, wyskocz z worka!”, to wyskakuje i młóci bez miłosierdzia tego, kto mnie dokuczy. Bić nie przestaje, dopóki ofiara nie legnie na ziemi i nie zacznie prosić o miłosierdzie. Zapomocą tego kija odebrałem cudowny stół i złotego osła, które karczmarz złodziej pozabierał braciom. Każ że, ojcie, ich przywołać i sproś wszystkich krewnych.

Napoję ich i nasycę i jeszcze im kieszenie złotem napelnię.

Stary krawiec niebardzo wierzył, ale krewnych zgromadził. Wtedy tokarz rozciągnął obrus w pokoju, przyprowadza osła i rzecze :

— No, bracie kochany, rozmów się z nim.

Młynarz przemówił: „brikebrik“ i w mgnieniu oka złoto posypało się na obrus, jak deszcz ulewny, a osieł sypać nie przestawał, póki wszyscy nie mieli tyle, że więcej unieść by nie mogli. (Widzę, że i tybyś chętnie był z nimi!).

Potem tokarz przyniósł stolik i mówi:

— Bracie kochany, przemów do niego.

Ledwie stolarz wymówił: „stoliku, nakryj się!“— już był nakryty i zastawiony obficie najlepszymi potrawami.

Wtedy zaczęła się uczta, jakiej pocziwy krawiec nie widział jeszcze w domu swoim i cała rodzina była razem, aż do późnej nocy. Wszyscy byli weseli i zadowoleni. Krawiec zamknął do szafy igłę, nici, łokieć i żelazko i żył z synami w radości i dostatku.

Ale co się stało z kozą, z powodu, której krawiec wypędził trzech synów swoich?

Koza wstydziła się, że ma łysą głowę i schowała się w lisiej norze. Kiedy lis wrócił do domu, para wielkich oczu zaiskrzyła się doń w ciemności. Przestraszył się i uciekł.

Spotyka go niedźwiedź, a że lis był bardzo wystraszony, więc pyta go mysio:

— Co ci to bracie! Czemu tak wyglądasz?

— Bo zwierz straszliwy siedzi w norze mojej,—  
powiada lis.— Spojrzał na mnie ślepiami ognistemi,  
więcem uciekł.

— Wypędzimy go! — mówi niedźwiedź.

Poszedł z lisem do nory, zagląda, ale gdy  
ujrzał oczy ogniste, strach opanował go także.

Uciekł, bo nie chciał mieć do czynienia ze  
straszmem stworzeniem.

Spotkała go pszczoła, a widząc, że jakiś nie-  
swój, powiada:

— Niedźwiedziu, czemu masz taką strapioną  
minę? Gdzie się podziała twoja wesołość?

— Dobrze ci żartować, — powiada niedźwiedź,  
—jakiś straszny zwierz siedzi w lisiej norze i nie  
możemy go wypędzić.

A pszczoła na to:

— Żal mi ciebie niedźwiedziu. Jestem stwo-  
rzenie małe i słabe, na które nie spoglądacie nawet  
po drodze, ale przypuszczam, że będę mogła wam  
dopomóc.

Poleciała do lisiej nory, siadła kozie na łbie  
wygolonym i ukuła ją tak silnie, że ta zerwała  
się, zabeczwała mee, mee! — i popędziła w świat,  
jak szalona.

Do dziś dnia nikt nie wie, gdzie się podziała.

## BIALOŚNIEŻKA

Działo się to dawno bardzo, jakoś w środku



zimy. Płatki śniegu padały, jak pierze z wysokiego nieba.

Królowa siedziała, szyjąc przy oknie, ujętem w czarne drzewo hebanowe. Podniosła oczy, spojrziała na śnieg i w tejże chwili ukuła się w palec. Trzy krople krwi upadły na śnieg. Czerwona barwa odbijała tak ślicznie od śniegu białego, że królowa pomyślała sobie:

„O gdybym ja miała dziecko, jak śnieg białe, jak krew rumiane i jak ta rama u okna czarne.“

Wkrótce potem urodziła się jej córeczka, jak śnieg biała, jak krew rumiana, z włosami czarnymi, jak heban.

Nazwano ją Białośnieżką.

Królowa zaś umarła zaraz po jej urodzeniu.

W rok potem, król pojął drugą żonę. Była piękna i młoda, ale dumna i zazdrosna. Nie mogła znieść tego, aby ktokolwiek od niej był piękniejszy. Miała ona osobliwsze zwierciadło. Stawała przed niem, przyglądała się sobie i mówiła:

„Zwierciadelko, powiedz przecie,  
Kto jest najpiękniejszy w świecie?“

A zwierciadło odpowiadało:

„Tyś, królowo, najpiękniejsza,  
Najbielsza i najzgrabniejsza.“

Wtedy była zadowolona, bo wiedziała, że zwierciadło mówi prawdę.

Białośnieżka rosła i była coraz to śliczniejsza. Gdy skończyła lat siedm, była tak piękna, jak jasny dzionek, piękniejsza od samej królowej. [A gdy ta

razu jednego zapytała zwierciadła, kto najpiękniejszy, odpowiedziało:

„Twa uroda głośno słynie,  
Po całej naszej krainie,  
Lecz Białośnieżka dziewczica,  
Stokroć piękniejsze ma lica.“

Królowa zlekła się. Zzółkła i zzieleniała z zazdrości.

Od tej chwili, co spojrzy na Białośnieżkę, serce przewraca się w niej z nienawiści ku królownie. Zazdrość i nienawiść rosły, jak chwast jaki w sercu jej coraz to więcej i więcej, tak, że nie miała już spokoju ani w dzień, ani w nocy. Zawołała strzelca i powiada:

— Wyprowadź dziecko do lasu! Nie mogę już patrzeć na nią dłużej! Zabij je, a płuca i wątrobę przynieś mi na dowód posłuszeństwa.

Strzelec musiał usłuchać. Wyprowadził królowną do lasu, naciągnął łuk i już miał przebić jej serce niewinne, gdy poczęła płakać i wołać:

— Daruj mi życie, pobiegnę w głąb lasu i nie wrócę nigdy do domu!

Strzelcowi zmiękło serce i powiada:

— No, więc puszczam cię wolno, biedne dziecko, — a w duszy pomyślał, — dzikie zwierzęta rozszarpia cię wkrótce!

Pomimo to, czuł, że ciężki kamień spadł mu z serca, gdy pomyślał, iż nie potrzebuje odbierać dziecku życia. Właśnie łania przebiegła obok niego. Zabił ją, wziął jej płuca i wątrobę i zaniósł królowej.

Biedna dziecina była w leśie sama, jak palec. Strach ją przejmował. Patrzała na liście na drzewach i nie wiedziała, jak sobie poradzić. Poczęła biec prosto przed siebie, przez ostre kamienie i ciernie, a dzikie zwierzęta przebiegały koło niej i nie robiły jej krzywdy najmniejszej. Biegła, póki mogła utrzymać się na nogach. Wieczór zapadł. Ujrzała przed sobą domek maleńki. Weszła do srodka, aby wypocząć. W domku wszystko było małe, ale tak śliczne i czyste, że wypowiedzieć trudno. Stał tam stolik biało nakryty, zastawiony talerzykami i kubkami, nożykami i widelcami. Wszystkiego było po siedm. Pod ścianą było siedm łóżek ustawionych rzędem, każde zasłane białem prześcieradłem.

Białośnieżka spragniona i głodna, ujęła z każdego kubka po kropelce wina, bo nie chciała zabierać wszystkiego jednemu. Potem, czując wielkie zmęczenie, chciała położyć się na łóżku, ale jedno było za krótkie, drugie za długie. Dopiero siódme okazało się w sam raz dobre, więc położyła się na niem, poleciała się Bogu i usnęła.

Gdy się ściemniło, mieszkańcy domku powrócili. Było ich siedmi karzelków, którzy po górach kopią i kują kruszce rozmaite. Zapalili siedm świeczek, które rozjaśniły cały pokój. Wtedy to spostrzegli, że ktoś obcy musiał być u nich, bo było trochę nieporządku, którego, odchodząc, nie zostawili.

Pierwszy spytał:



— Kto siedział na mojem krzeselku?

Drugi:

— Kto jadł z mego talerza?

Trzeci:

— Kto mi chleb łamał?

Czwarty:

— Kto jadł moją jarzynę?

Piąty:

— Kto jadł moim widelcem?

Szósty:

— Kto krajał moim nożykiem?

A siódmy:

— Kto pił z mojego kubka?

Pierwszy obejrzał się. Spozrzegł na swoim łóżku ślad maleńkiej stopki i zawołał:

— Kto stapał po mojem łóżku?

Inni nadbiegli także i wołali:

— I na mojem ktoś leżał.

Siódmy, spojrzawszy na łóżko swoje, zobaczył Białośnieżkę, śpiącą na niem smacznie. Zawołał towarzyszków, którzy zbiegli się zaraz i aż krzyknęli z podziwu. Przynieśli siedm świeczek i oświecili dziewczynkę.

— Mój Boże, mój Boże! — wołali, — jakie to dziecko prześliczne!

Cieszyli się tak bardzo, że nie obudzili jej i spała sobie w łóżeczku. Siódmy karzelek spał po godzinie z każdym z towarzyszków i tak noc minęła.

Rano Białośnieżka obudziła się wreszcie i uj-

rzawszy siedmiu karłów, zlekła się bardzo. Ale oni przyjaźnie spytali :

— Jak się nazywasz ?

— Białośnieżka.

— Jakim sposobem dostałaś się do nas ? — pytali dalej.

Opowiedziała im, jak macocha chciała ją zgładzić ze świata, lecz strzelec się zlitował, jak biegła dzień cały, aż wreszcie napotkała ten domek.

Karzelkowie jej na to :

— Jeżeli będziesz nam dom prowadzić, gotować, prać, szyć, robić pończochy, utrzymywać wszystko w porządku i czystości, to możesz zostać u nas, a na niczem zbywać ci nie będzie.

— Dobrze, najchętniej — odrzekła Białośnieżka i została.

Zajmowała się domem i gospodarstwem ; karzelkowie wychodzili rankiem w góry po złoto i kruszec, wieczorem wracali, a jedzenie musiało już być przygotowane,

Dziewczyna była sama przez dzień cały, więc dobrzy karzelkowie mówili jej zawsze :

— Strzeż się złej macochy. Dowie się ona niezadługo, żeś u nas. Nie wpuszczaj nikogo.

Królowa, pozbywszy się pasierbicy, była przekonana, że jest znowu pierwsza i najpiękniejsza, stanęła więc przed zwierciadłem i mówi :

„Zwierciadelko, powiedz przecie,  
Kto jest najpiękniejszy w świecie ?

A zwierciadło na to:

„Twa uroda głośno słynie  
Po całej naszej krainie,  
Lecz za lasami, górami,  
Pomiędzy siedmiu skałami,  
Białośnieżka najpiękniejsza,  
Najbielsza i najzgrabniejsza.“

Królowa zlekła się, bo wiedziała, że zwierciadło nigdy nie kłamie. Poznała, że strzelec oszukał ją, a Białośnieżka była jeszcze przy życiu. Odtąd myślała ciągle i nieustannie, jak się pozbyć królewnej, bo zazdrość nie dawała jej spokoju. Wreszcie, obmyśliła coś nowego. Ufarbowała sobie oblicze i ubrała się, jak stara przekupka. Zmieniła się do niepoznania. W tej postaci poszła za siedm gór i lasów do siedmiu karłów, zapukała do drzwi i woła:

— Ładny towar, a tani, tani!

Białośnieżka wyjrzała okienkiem i zawołała:

— Dzieńdobry, matko, co macie na sprzedaż?

— Dobry towar, piękny towar, sznurowadła różnobarwne! — odpowiedziała macocha, wydobywając sznurowadło, uplecione z barwnego jedwabiu.

— Mogę przecie wpuścić tę pocziwą kobietę, — pomyślała dziewczyna.

Otworzyła drzwi i kupiła sobie sznurowadło.

— Dziecko! — zawołała czarownica, — jak ty wyglądasz! Poczekaj niech cię porządnie zasznuрую.

Białośnieżka bez namysłu stanęła przed nią i pozwoliła zasznurować się nowem sznurowadłem.



Czarownica poczęła sznurować tak szybko i tak silnie, że dziewczynie zabrakło oddechu i upadła, jak nieżywa.

— Tak! Już nie będziesz najpiękniejsza! — powiedziała czarownica i umknęła.

W chwilę potem karzełkowie wrócili do domu na wieczerzę. Jakże się przestraszyli, widząc kochaną Białośnieżkę na ziemi. Nie ruszała się i nie dawała znaku życia. Zdawało się, że umarła. Podnieśli ją do góry, a widząc, że za mocno zasznurowana, rozcięli tasiemkę. Dziewczynka poczęła odychać i odżyła potroszę. Karzełkowie, dowiedziawszy się, co zaszło, rzekli:

— Stara przekupka, to nikt inny, jak tylko bezbożna królowa. Strzeż się i nie wpuszczaj nikogo, jeżeli nas niema w domu.

Macocha, wróciwszy do siebie, stanęła przed zwierciadłem i pyta:

„Zwierciadelko, powiedz przecie,  
Kto jest najpiękniejszy w świecie?”

Zwierciadło odpowiedziało:

„Twa uroda głośno słynie  
Po całej naszej krainie,  
Lecz za lasami, górami,  
Pomiędzy siedmiu karłami,  
Białośnieżka najpiękniejsza,  
Najbielsza i najzgrabniejsza.”

Usłyszawszy to królowa osłupiała. Krew zbiegła jej do serca, bo poznała, że Białośnieżka odżyła.

— Poczekajże, — zawołała, — wymyślę coś takiego, co cię zgładzi ze świata.

Znała się na czarach, więc zrobiła grzebień jadowity. Przebrała się, wzięła postać innej starej baby i poszła za siedm gór i lasów do siedmiu karłów.

— Dobry towar, a tani, tani!

Białośnieżka wyrzała i mówi:

— Idźcie dalej, nie wolno mi wpuszczać nikogo.

— Ale patrzeć to ci chyba wolno, — powiada stara, wyciągając grzebień.

Podniosła go do góry, a dziewczynie tak się spodobał, że dała się omamić i wpuściła starą do domu.

Kiedy się zgodziły o cenę, stara ozwała się:

— No, poczekaj, uczeszę cię teraz porządnie!

Biedna Białośnieżka, nie zastanawiając się wcale, pozwoliła jej na to. Ale skoro tylko grzebień dotknął się do włosów, trucizna poczęła działać i dziewczyna upadła bez zmysłów.

— Ty cudzie piękności, już cię niema, — syknęła niegodziwa macocha i uciekła.

Na szczęście, było to pod wieczór i karzełkowie wrócili wkrótce do domu. Ujrawszy Białośnieżkę bez życia na ziemi, odrazu domyśleli się, że to sprawka macochy. Zaczęli szukać i znaleźli grzebień jadowity. Skoro go wyjęli, Białośnieżka przysła do siebie i opowiedziała im, co się z nią działo. Karzełkowie prosili ją znowu, aby się strzegła i nikomu drzwi nie odmykała.

Królowa tymczasem, wróciwszy do domu, stała przed zwierciadłem i pyta:

„Zwierciadelko, powiedz przecie.

Kto jest najpiękniejszy w świecie?”

A zwierciadło znowu odpowiedziało tak, jak przedtem, że Białośnieżka. Usłyszawszy to, królowa zatrzęsa się i zadrżała ze złości.

— Ona musi umrzeć, — wołała — choćbym to miała życiem przypłacić.

Poszła do komory oddalonej i ukrytej, gdzie nikt nie zaglądał i zrobiła tam zatrute jabłko. Na zewnątrz wyglądało ładnie, było białe i rumiane, tak, że kto je ujrzał, miał ochotę skosztować. Najmniejsza okruszynka tego jabłka sprowadzała śmierć.

Teraz królowa przebrała się po wiejsku i poszła za siedm gór i lasów do siedmiu karłów. Zapukała. Białośnieżka wyjrzała okienkiem i woła:

— Nie wolno mi wpuszczać nikogo. Karzełkowie zabronili.

— To dobrze, — odparła wieśniaczka. — Ja i tak pozbędę się swoich jabłek. Masz, daruję ci to jabłuszko.

— Nie, — mówi dziewczyna, — nie wolno mi nic przyjmować.

— Czy boisz się trucizny? Patrz, przecinam jabłko na dwie części, czerwoną dam tobie, białą zjem sama.

Jabłko było tak zrobione, że tylko czerwona połówka była zatruta.

Owoc skusił dziewczynkę, a widząc, że wieś-



niaczka je także, nie mogła się powstrzymać, wy-  
ciągnęła rękę i wzięła część zatrutą.

Połknęła odrobinę i padła martwa na ziemię.

Królowa spojrzała na nią okrutnym wzrokiem  
i zaśmiała się głośno, mówiąc:

— Biała, jak śnieg, czerwona, jak krew, czar-  
na, jak heban! No teraz karły cię nie obudzą!

Gdy w domu spytała zwierciadła, kto najpięk-  
niejszy, odpowiedziało nareszcie:

„Tyś królowo, najpiękniejsza,  
Najbielsza i najzgrabniejsza!“

Wtedy dopiero serce jej zaznało spokoju, o ile  
go zaznać może serce zazdrosne.

Karły, wróciwszy wieczorem do domu, znaleźli  
Białośnieżkę na ziemi. Oddech nie wychodził już z  
jej piersi, — nie żyła. Podnieśli ją, szukali, czy nie-  
ma przy niej czego zatrutego, rozsnurowali ją,  
czesali jej włosy, myli ją wodą i winem, ale wszyst-  
ko daremnie. Kochane dziecko nie odżyło.

Położyli ją tedy na noszach, siedli wszyscy  
przy niej i opłakiwali. Płakali aż trzy dni, poczem  
mieli ją pochować.

Białośnieżka wyglądała jeszcze tak świeżo, tak  
była rumiana, jak za życia, więc karzełkowie po-  
wiadają:

— Nie możemy jej nakryć czarną ziemią — i  
kazali zrobić trumnę przezroczystą, ze szkła jasne-  
go, tak, że widać ją było ze wszystkich stron.

Trumnę postawili na górze i jeden z nich był  
ciągle przy niej na straży. Zwierzęta rozmaite przy-

były tam i oplakiwały Białośniężkę, najpierw sowa, potem kruk, a wreszcie gołąbek.

Białośniężka leżała przez długi czas w trumnie. Nie zmieniła się i wyglądała tak, jak gdyby spała, bo była biała, jak śnieg, czerwona, jak krew, a włosy miała czarne, jak heban.

Razu jednego piękny królewicz zabłądził w tym lesie i nocował w chatce karzełków. Zobaczył trumnę na górze i napis złotymi literami i mówi do karzełków:

— Odstąpcie mi tę trumnę, dam wam za nią, ile zechcecie.

Ale karzełkowie odpowiedzieli:

— Nie oddamy jej za żadne skarby świata.

A on<sup>na</sup> to:

— Więc mi ją darujcie, bo nie będę mógł żyć, nie widząc Białośniężki. Będę ją cenił i szanował, jak rzecz najdroższą.

Słyszac to, karzełkowie zlitowali się nad nim i dali mu trumnę.

Królewicz kazał nieść ją sługom na ramionach. Słudzy, idąc, potknęli się o krzaczek. Od tego wstrząśnienia kawałek jabłka, który królowna połknęła wypadł jej z gardła. W chwilę potem otworzyła oczy, podniosła wieko trumny do góry, usiadła i spojrzała wokoło.

— Mój Boże, gdzie jestem? — zawołała.

— Jesteś u mnie, — odpowiedział królewicz uradowany. — Kocham cię nad wszystko na świecie.

cie, chodź ze mną do zamku ojca mojego, będziesz moją żoną.

Białośnieżka zgodziła się na to; urządzono wspaniałe wesele.

Zaproszono na nie i macochę Białośnieżki. Bezbożna niewiasta ubrała się w piękne szaty, stanęła przed zwierciadłem i pyta: kto najpiękniejszy, a zwierciadło odpowiedziało:

„Twa uroda głośno słynie  
Po całej naszej krainie,  
Lecz Białośnieżka dziewica  
Stokroć piękniejsze ma lica.”

Zła kobieta zakłęła głośno i zrobiło jej się tak jakoś strasznie, że nie mogła się uspokoić. Zrazu, nie chciała iść na wesele, ale wkońcu nie mogła wytrzymać, — musiała zobaczyć młodą królowę. Weszła na salę, a gdy poznała Białośnieżkę, taki strach, taka opanowała ją trwoga, że ruszyć się nie mogła.

Na rozżarzonych węglach stały już żelazne pantofle.

Wzięto je szczypcami i postawiono przed czarownicą, która musiała je włożyć i tańczyć w nich póty, póki nie upadła martwa na ziemię.

## CHŁOP i BIES.

Był chytry a mądry kmiotek, o którym dużo



opowiadają, ale najciekawsze to, jak biesa kiedyś oszukał.

Kmiotek ten, zorawszy raz rolę, zabierał się zpowrotem do domu, o samym zmroku. Wtem, ujrzał na środku swego pola kupę węgla ognistych i gdy się zbliżył zdziwiony, ujrzał djabła, siedzącego na żarze.

— Siedzisz pewnie na skarbie, — przemówił kmiotek.

— A jakże, mam tu tyle złota i srebra, ileś jeszcze nie widział, — odpowie bies.

— Skarb na mojem polu do mnie należy, — rzecze chłop.

— Będzie twoim, ale musisz mi dawać przez trzy lata połowę tego, co ci da ziemia. Mam dosyć pieniędzy i złota, ale pożądam owoców ziemskich.

Kmiotek zgodził się na to, mówiąc:

— Aby nie było sporów przy podziale, pamiętaj sobie, że dam ci to, co będzie nad ziemią, a sam wezmę to, co będzie w ziemi.

Bies nie miał nic przeciwko temu. Chytry kmieć posiał rzepę i gdy nadeszły zbiory, bies miał same suche pożółkłe liście, a kmiotek kopał rzepę w najlepsze.

— Raz ci się udało, — wrzasnął djabeł, — ale na drugi raz na mnie kolej. Ty weźmiesz to, co będzie nad ziemią, a ja to, co w ziemi.

— I owszem, — odparł chłop, a gdy przyszła pora siewu, zasiał pszenicę. Gdy dojrzała, poszedł w pole i ściął kłosa ze słomą aż do ziemi.

Bies nadbiega, patrzy, a tu tylko ściernie.

Wściekły, wrócił do nory, a chłop zabrał skarb do domu i zawołał:

— Tak się oszukuje chytrych lisów!

## WYDEPTANE TRZEWIKI.

Był sobie król. Miał dwanaście córek, jedna piękniejsza od drugiej, które sypiały razem w dużej komnacie, a łóżka ich stały obok siebie. Król zamykał sam co wieczór drzwi na klucz i na zasuwę, skoro się tylko do snu poukładały. Pomimo to, trzewiki ich były co rano wydeptane, jakby po tańcu i nikt nie mógł dociec, jakim sposobem to się działo. Wkońcu król kazał rozgłosić, że ten, kto odkryje, gdzie jego córki tańczą w nocy, dostanie królestwo i otrzyma jedną z królewien za żonę. Ale kto się na próbę odważy i po trzech dniach nic nie wyjaśni, to zostanie skazany na śmierć.

Wkrótce zjawił się królewicz, który chciał spróbować szczęścia. Przyjęto go bardzo godnie i zaprowadzono wieczorem do pokoju, przylegającego do komnaty sypialnej. Posłano mu tam łóżko. Miał uważać, gdzie się królewny wymykają w nocy i zostawiono drzwi od sypialni otworem, aby królewny nie mogły nic zrobić pokryjomu.

Królewiczowi powieki ciężyły, jak ołowiane i zasnął.

Na drugi dzień wszystkie trzewiki królewien miały dziury w podeszwach. To samo było drugiej

i trzeciej nocy, więc ścięto bez miłosierdzia głowę królewiczowi.

Przychodziło po nim jeszcze wielu młodzieńców, ale wszyscy płacili życiem za śmiałość.

W tym czasie żołnierz szedł drogą, wiodącą do miasta królewskiego. Był ranny i nie mógł już służyć. Spotkał staruszkę, która go spytała, dokąd idzie.

— Sam nie wiem, — odpowiedział i dodał żartem, — chciałbym dojść, gdzie królowny chodzą na tańce. Zostałbym królem na stare lata.

— O, to nie jest rzecz tak bardzo trudna, — mówi staruszka, — nie pij wina, które ci dadzą wieczorem, a położywszy się, udawaj, żeś zasnął.

Dała mu płaszczyk jakiś, mówiąc:

— Jak go zarzucisz na siebie, staniesz się niewidzialnym i niepostrzeżony będziesz mógł pójść za królownemi.

Żołnierz, słysząc te słowa, postanowił obrócić żart w rzeczywistość i poszedł do króla. Przyjęto go, jak wszystkich poprzedników i dano mu ubranie królewskie. Wieczorem zaprowadzono go do pokoju obok sypialni. Kiedy się miał kłaść do łóżka, najstarsza z królewien przyniosła mu wina. Ale chytry żołnierz przywiązał sobie gąbkę pod brodą, wylał na nią wino i ani kropelki do ust nie wziął. Potem położył się i poleżawszy chwilę spokojnie, zaczął chrapać przeraźliwie, jak człowiek, pogrążony w śnie głębokim



Królowny, słysząc to, śmiały się, a najstarsza mówi:

— Widocznie życie mu zbrzydło, bo szuka śmierci.

Wstały i poczęły wydobywać z szaf i skrzyń najpiękniejsze suknie. Stroiły się przed lustrem, skakały po pokoju i cieszyły się, że tańczyć będą. Tylko najmłodsza powiada:

— Cieszcie się, a mnie smutno jakoś, sama nie wiem czemu. Zdaje mi się, że nieszczęście nas spotka.

— Gaska z ciebie, — odparła najstarsza, — zawsze się boisz. Czyś już zapomniała, ilu królewiczów chodziło tu daremnie? Niepotrzebnie nawet dawałam na sen temu żołnierzowi. On by się i tak nie obudził.

Ubrały się, wystroily i zająrzały do żołnierza, czy śpi.

Miał oczy zamknięte i leżał, jak zabity. Królownom się wydało, że z jego strony nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Najstarsza zbliżyła się do swego łóżka i zapukała. Łóżko spuściło się w ziemię, a królowny zeszły za niem jedna po drugiej, z najstarszą na czele.

Żołnierz widział wszystko. Niewiele myśląc, zarzucił na siebie płaszcz i niewidzialny poszedł w ślad za najmłodszą.

Na schodach przydeptał jej suknię niechcący.

— Co to jest? Kto mi suknię przydeptał?

— Nie bądźże tak niemądra! — uspokajała

ją najstarsza.—Zaczepiłaś się pewno o gwóźdź jaki.

Zeszedłszy ze schodów, królowny znalazły się na drodze precudnej, wysadzaney drzewami o srebrnych liściach, które błyszcząły i mieniły się w oczach. Żołnierz pomyślał:

— Muszę sobie wziąć stąd cokolwiek na znak, zem tu był, — i ułamał gałązkę.

Trzask głośny dał się słyszeć. Najmłodsza zawołała z przestachem:

— Co się dzieje? Słyszałyście?

A najstarsza na to:

— Strzelają w zamku na wiwat, bo już wkrótce zdejmiey urok z naszych królewiczów.

Weszły na drugą stronę, wysadzoną drzewami o liściach złotych, a wkońcu na trzecią, gdzie liście były z przezzystych brylantów. Za każdym razem rozlegał się huk głośny. Najmłodsza trzęsła się ze strachu, ale najstarsza powtarzała ciągle, że to strzały. Wkońcu przyszły nad dużą wodę, na której było dwanaście łódek. W każdej z nich był królewicz.

Widocznie czekali oni na królowny i zabrawszy każdy po jednej, odpłynęli.

Żołnierz wskoczył do łódki z najmłodszą królowną.

— Nie wiem, co to znaczy, — ozwał się królewicz, ale łódka dziś cięższa niż zwykle i muszę robić wiosłami ze wszystkich sił.

— To chyba od upału, — mówi królowna. — I mnie bardzo gorąco, jestem jakoś źle usposobiona.

Na przeciwległym brzegu był jasno oświetlony pałac, wesola muzyka grzmiała; rozlegały się trąby i bębny.

Królewicze wprowadzili królowny do pałacu i poczęli tańczyć, każdy ze swoją ukochaną. Niewidzialny żołnierz tańczył także, a gdy która z królewien chciała się napić wina, wypijał je tak, że niosła do ust próżny puhar. Zastanowiło to najmłodszą i zastraszyło, ale najstarsza umiała ją zmusić do milczenia.

Tańczyły do rana i przestały dopiero, gdy się im trzewiki zupełnie rozleciały. Królewicze przewieźli królowny przez wodę. Na brzegu pożegnali się, obiecując sobie, że się zobaczą następnej nocy.

Żołnierz pobiegł naprzód, rzucił się na łóżko, a gdy królowny pomęczone i niewyspane weszły powoli do sypialni, chrapał już tak głośno, że siostry go usłyszały.

— Ten nas nie wyda, — mówiły.

Rozebrały się, pochowały piękne stroje, postawiły podarte trzewiki pod łóżkiem i położyły się spać.

Na drugi dzień żołnierz postanowił nic nie mówić i przyjrzeć się jeszcze temu, co królowny robią. Śledził je drugiej i trzeciej nocy. Wszystko odbyło się tak, jak pierwszej i królowny tańczyły póty, póki im trzewiki z nóg nie pospadały.

Trzeciej nocy żołnierz wziął puhar z pałacu zakłętogo. Wybiła godzina, w której żołnierz miał dać odpowiedź królowi. Wziął tedy puhar i gałązki



i poszedł śmiało. Królowny stały za drzwiami i słuchały, co powie.

Król pyta:

— Gdzie chodzą córki moje i z kim tańczą?

— Chodzą do podziemnego pałacu i tańczą z dwunastu królewiczami, — odparł żołnierz i opowiedział królowi wszystko, co widział, pokazując na dowód puhar i gałązki.

Król kazał przyjść córkom i zapytał:

— Czy to prawda?

One zaś widząc, że się wszystko wydało i żadne wykręty nie pomogą, przyznały się do wszystkiego.

— Którą z nich chcesz wziąć za żonę? — pyta król.

— Jestem nie pierwszej młodości, więc dajcie mi najstarszą, — odpowiedział.

Wesele odbyło się jeszcze tego samego dnia i król obiecał oddać żołnierzowi królestwo po swojej śmierci.

Królewicze zaś zostali znowu zaklęci na tyle dni, ile nocy przetańczyli z królewniami.

## WYBREDNY PAROBCZAK.

Pewien parobczak tak był wybredny na dobry chleb gospodarza, że groch ugotowany jadł odwróconą łyżką, jakby na kpiny.

Ale kiedy wyrósł na mężczyznę, a potem się

ożenił i zbiedniał, żyjąc gdzieś na komorném, przyszedł do gospodarza prosić o zapomogę.

Ale gospodarz odpowiedział mu zaraz, że nie ma innego zboża, tylko groch, którego on nie lubił.

— Zlitujcie się, gospodarzu, dajcie cnoć grochu.

Poszli do spichrza; gospodarz zaczął odwrotną stroną szufli sypać groch do worka. Ale na odwrotnej stronie szufli żadne ziarnko zatrzymać się nie mogło i stąd do worka nie można było nic wsypać.

— Gospodarzu, czemu tak czynicie? — zapytuje zdziwiony parobek.

Przypomniał mu gospodarz, jak on jadł groch u niego.

Parobek żałował tego, co było; ulitował się gospodarz nad dawnym sługą i dał mu zboża.

---

## 9. Bajka rosyjska.

### SPRAWIEDLIWA RÓZGA.

Na wschodzie, gdzie jutrzeńka rumieni się jak młode dziewczę, było wspaniałe państwo: i ziemi tam, i lasów, i wody, i ptaków różnopióрых, i zwierząt różnoskórych—wszystkiego, wszystkiego w bród! A słońce świeciło i grzało przez cały rok okrągły, jak u nas w lecie. I król był jak słońce: rozumny, dobry, dla każdego dostępny, łaskawy, czy w dzień, czy w nocy, jak gdyby nie potrzebował ani snu, ani wypoczynku: — poprostu — słońce dla państwa; ale zato nic się przed tem słońcem ukryć nie mogło: wszystko widzi, wie wszystko; w żadnym zamku, w żadnej dziurze nie schowasz się przed niem; za dobre — honor i chluba, za złe postęпки — różga.

Różga ta pomagała mu bardzo.

Miał on złotą księgę: prawa spisane w niej były na złotych kartach srebrnemi głoskami. Wstaje skoro świt, otwiera księgę z prawami i siedzi przed nią ze wskazówką.





Przychodzą doń chłopcy i bojary, doradcy różni i ci, to piszą książki dla nauki ludu, prości szeregowcy, żołnierze w czapkach błyszczących,—wszyscy przychodzą i pytają :

— Królu i ojczel! Powiedz nam, jak i co robić mamy ?

Król wskazówką wodzi po prawie, jakiego mu trzeba i mówi :

— Uważaj dobrze, nie opuszczaj niczego i rób tak, jak pisze w prawie.

Jeżeli kto przychodził w istocie zasięgnąć rady w księdze, ażeby postąpić według prawa, to różga stała przy księdze spokojnie, jak gdyby nigdy nic. Jeżeli zaś kto przychodził z myślą podstępną, t. j. niby dlatego, ażeby napozór zasięgnąć porady, a w gruncie rzeczy, ażeby prawo skoszlawić, spaczyć, to różga zrywała się zaraz i zaczynała go bić, gdzie popadło, bez wyboru, czy to był chłop, bojar, szary żołnierz, czy żołnierz błyszczący ; wszyscy byli równi przed prawem, królem i różgą. To też wszystko szło dobrze w tem państwie.

Miał król żonę, królowę, pełną, rumianą, jak mak ponsowy, o sokolich oczach, łabędziej piersi, słowiczym głosie, a łagodna jak zorza, świeża jak poranek majowy, a rozumna—że nie masz drugiej takiej na świecie.

I kochał ją król bardzo i ona go także. A miłość nie przeszkadzała ani im samym, ani nikomu innemu w pracy. Bywało i tak, że król, zmęczony ciąglem trzymaniem wskazówki na księdze, idzie



do królowej, ażeby na nią popatrzeć i powiedzieć jej miłe słówko, a ona mówi doń:

— Cóżeś się tak rozlenił, królu? Wszak słońce jeszcze świeci; księgę można czytać do zmierzchu. A może też kto zechce zasięgnąć porady przed nocą? Biada państwu i wam, gdy kto o prawie zapomni i pójdzie spać bez prawa! Bóg wie, co mu w nocy przyjść może do głowy!

— Masz słuszość, — rzecze król i odchodzi ze wskazówką do księgi i siedzi nad nią do późnej nocy, że już ani wierszyka, ani słówka odczytać nie można, lecz pamięta się jedynie to, co za dnia wpadło pod czaszkę.

Niekiedy też i królowa przyjdzie nie w porę. Król głaszcze ją wtedy po główce i mówi:

— Nie, aniołku, teraz nie mam czasu; muszę ludziom wskazywać prawa, bo sam się człowiek rozlenia i cały naród zamieni się w leniuchów; a to źle, gdy król i naród — rozleniwieją.

— Masz słuszość, — odpowie królowa; postoi, popatrzysz sobie i odchodzi.

Tak wybornie zarządzili państwem!

I mieli dużo dzieci — okrągły tuzin synów, jak dwanaście miesięcy jasnych. I naród też ich miesiącami nazywał. Bywało, kto powie: „Miesiąc idzie“, to już wiadomo, że to syn królewski. Byli oni wszyscy podobni do siebie; tylko ten, co starszy, to był i rumieńszy, a młodszy — bielszy, srebrzystszy; najmłodszy był taki bladziutki cichy, z twa-



rzyczką, jakby obłóczkiem pokrytą, cienkim, przejrzystym.

Od maleńkości uczyli się wszystkiego, czytali na książce, kościelnych i cywilnych uczyli się druków, umieli zsumowywać rachunki, bo to królom bardzo a bardzo potrzebne, na gwiazdy patrzyli; co na całej ziemi, co w ich państwie, to wszystko u nich, jak na dłoni, na tablicach, na globusach narysowane było — i lasy, i morza, i jeziora: — spojrzy na taką tablicę porysowaną, na kulę, całą w kołach i deseniach i widzi: — tam chłop się rozlenił, tam bojaryn całe życie leży do góry brzuchem, pisarz nie tworzy ani wiersza, żołnierz, zamiast musztry, struże kukły z drzewa, gryzie ziarnka słonecznika i myśli nie o wojnie lecz o piecu; tam piwowar miesza odur czyli truciznę do piwa, kupiec odciął arszyn ze sztuki, szewc robi buty ze zgniłej skóry, nauczyciel ani sam się nie uczy, ani dzieci nie uczy, przychodzi do szkoły i ani słowa mądrego nie powie. Wszystko to widzą przez naukę. A najwięcej uczyły się dzieci królewskie praw tak, że niejeden z nich lepiej je umiał od ojca i zamkniętymi oczyma prosto palcem trafiał na prawo; a wskazówki król im nie dawał jeszcze do ręki.

Nauka — nauką, księga — księgą, ale oko własne i własny rozum są zawsze najlepsze. I dzieci królewskie nie siedziały za piecem i w durnia nie grały; lecz po nacytaniu się książek, dalejże po państwie i chodzić, i jeździć, i pływać, po wielkich miastach, po małych, po siołach, po wsiach i fol-

warkach ; im uboższa izba, im biedniejszy kmiotek, tam zaglądają najprędzej. Znali lud dobrze i lud ich znał i kochał ich za to ; co gdzie zobaczą, o tem zaraz opowiedzą ojcu. Gdy sam nie zobaczysz i o wszystkim opowiadać będziesz tylko z posłuchu, to głupstw narobisz i tyle. — Król słucha, słucha ich, doda do praw nowe prawo, westchnie, klasnie w dłonie i w bólu zawoła : „Rózczko, rózczko !“ A różga dalejże w tany i zrazu grzmoci tych, co strasznie figlują, a nie wykonywują przepisów.

Tak to uczyli się królewicze i ojcu pomagali, w czem im pomagała nauka i otwarta gawęda z rozumnym człowiekiem z ludu i z każdym w ogólności. I aż się dusza śmiała, patrząc, jak wzrastały rozumne dzieci królewskie.

Ale ni stąd ni zowąd przyszła do nich bieda. Raz siedzi sobie królowa i myśli ; a myśli o tem : „Mam dwunastu synów a żadnej córki ; a przecie córka to kwiatek w ogrodzie, śpiewna ptaszyna pod strzechą, dźwięczny strumyczek w ogrodzie ; z nią piękność, i pieśni, i uśmiech, i świeżość w rodzinie, i człowiek jakby pogodniejszy i rażniejszy się czuje“. I smutno zrobiło się królowej.

Nagle z pod podłogi wylazła mysz (bo wszak i w pałacach królewskich bywają myszy i przegryzają dziurki w podłodze, ażeby się zakraść tam, gdzie ich nie proszą), wylazła, usiadła na tylnych łapkach i spogląda na królowę.

— Co ty się tak patrzysz na mnie? — rzecze jej królowa.

— Patrzę, bo myśli twoje odgadłam, — odpowie myszka, — i mogę cię pocieszyć w twoim smutku.

— Czem pocieszyć mnie możesz, droga myszko? — spytała królowa.

— Tem, że spełni się twoje życzenie, królowo. Będiesz miała córkę, takiej urody, że tylko w bajce się taką spotyka. Ale pamiętaj, wspomnij sobie moje mysie słowo: gdy ci się córka urodzi, nie słuchaj nikogo, kto zechce cię martwić czemkolwiek. A czem — to się już wtedy sama domyśl.

— Dziękuję ci, — rzekła królowa, — czemu cię mam wynagrodzić? Bo bez nagrody wypuścić cię nie mogę przecież!

— Co nam potrzeba pod podłogą? U nas ciemno; niema kto patrzeć na nas; ani nam wazych gwiazd srebrnych, ani cacek, ani piór z ogonów ptasich — niczego nam nie potrzeba. Dosyć będzie, jeżeli nam pozwolisz karmić się spokojnie ziarnem, co z nadmiaru worków wciska się w szpary podłogi. A iżbyśmy się mogły karmić spokojnie, wygoń z domu złych kotów, — one nam dokuczają najbardziej.

— Dobrze, — odparła królowa, — karmcie się spokojnie; złych kotów każę wypędzić z królestwa.

— Bóg ci zapłać, królowo, bądź zdrowa; pamiętajże co ci mówi myszka: gdy ci się córka uro-



dzi, nie słuchaj nikogo, lecz słuchaj jedynie serca matki, ono ciebie złego nie nauczy. My, z pod podłogi, myszy także coś niecoś wiemy. Bądźże zdrowa i panuj na chlubę naszą, bo wszak państwo bywa tam szczęśliwe, gdzie ani jedna mysz nie ginie z głodu, chłodu i nieprzyjaciół.

Tak mówiła mysz mądrała i na znak pokory, przypadła do ziemi miękkim brzuszkiem, rozstawiła łapki, poleżała chwilę, potem zerwała się i wesoło wsunęła się do norki.

Królowa rozkazała wypędzić z państwa złych kotów; za nimi poszły i kotki. Zebrała się ich straszna chmara—białe, szare, żółte, pstrokate, czarne; za wielkimi biegną i wleką się kocięta, a te, które ani biec, ani wlec się nie mogą, kotki przenoszą w zębach. Idą taką chmarą, że okiem trudno ich ogarnąć, wszystkie pogiębione, mordki i ogonki opuściły na dół i miauczą żałośnie, że aż się na płacz zbiera. Ale cóż począć — trzeba!

Zresztą, kot mądry: wszędzie się pożywi. Poszły do lasu, rozbiegły się po gęstwinie i jeły żyć, jak który umiał.

I oto w rok potem, królowej urodziła się córka—piękna, jakiej świat nie widział; włosy jak jedwab, oczki jak krople jasnej rosy, usteczka jak dwa złożone kwiateczki, a na bielutkiem, czyściutkiem czołku, na samym środku — patrzą — gwiazda świeci i to nie jakaś sztuczna, ale prawdziwa; tak się z nią urodziła!

Cieszy się królowa i sam król rad bardzo i bracia kontenci, a pośród ludu taka była radość, że po całym państwie rozbiegły się wieści i gadki jak burza i ptaków krwiożerczych poprzestraszały i las połamały i niedźwiedzi i wilków padło niemało; zato ptaszki śpiewające o małym ze skóry nie wyskoczą; i w dzień i w nocy świerczą i szczebioczą tak, że królowa kazała im nareszcie umilknąć, żeby sobie z radości głosów nie przerwały.

Patrzą wszyscy na królową — ojciec i matka i bracia, przyszli patrzeć i ludzie obcy. A gdy wszyscy wyjdą i noc nadejdzie i na czołe królowej gwiazdka zabłyszczyci jaśniej, królowa znów patrzy na nią sama jedna i ta córka wydaje jej się samej, bez oczu obcych, z samą tylko miłością macierzyńską, jeszcze miłsza i ładniejsza.

Tak siedziała pewnego razu królowa aż do północy. Gorąco się jej zrobiło z rozkoszy serca i wyszła do parku odświeżyć się zapachem traw i kwiatów, rosą i wiatrem przelotnym. Chodzi i ciągle myśli o swojej córce. Spojrzała na niebo: na niebie płoną gwiazd miliony, żółte, z zielonkawym odblaskiem, jasne, jak srebro; niektóre patrzą jak czyjeś cudne oczy, nieruchomo; inne drgają jak iskry, gdy je wichur w powietrzu roznosi; a trzecie jakby migają promieniami i niby wzywają nas gdzieś i dokądś.

Jest coś cudnego, słodkiego, sięgającego aż do głębi serca, smutnie i nieśmiało, w tym świecie gwiazd Bożych!

Długo patrzała królowa, podniósłszy oczy do nieba, długo patrzała i nareszcie, uśmiechnawszy się, rzekła do gwiazd nierozsądne zdanie: „Dużo was jest, gwiazdy na niebie, jest was bez liku i takieście piękne, jak gdyby myśli Boże w was błyszcząły; ale pomiędzy wami, w całym waszym królestwie niebieskiem, nie masz ani jednej takiej, jak na czole mojej córki, królewny, tu w ziemskim królestwie. Taka gwiazda jeszcze się pomiędzy wami nie urodziła“.

Zaledwie wygłosiła to nierozsądne zdanie, gdy jedna z gwiazd nagle wybuchła, zadrżała, ruszyła się z miejsca i znacząc w powietrzu ślad ognisty, opuściła się do królowej, stanęła przed nią i patrzy na nią uparcie, tak patrzy, jak gdyby chciała wejść w jej oczy i w samą duszę i oświetlić wszystkie jej myśli. Patrzyła, patrzyła, potem zamigotała i rzekła:

— Słuchaj, królowo, i pamiętaj: na ziemi nie masz niczego, coby się mogło zrównać z tem, co na niebie; ale wiedz, że i gwiazdy niebieskie gaśną: nie gaśnie tylko prawda! Niech prawda zgaśnie, a na niebie stałaby się ciemność i wszystko światło zgasłoby na świecie.

Co rzekłszy, gwiazda zaczęła blednąć, niknąć, aż zgasła na wieki. Jednocześnie z nieba zaczęły spadać czyste krople, jak gdyby gwiazdy zapłakały.

Strach ogarnął królowę i pochwyciwszy swoją złotą, ciężką suknię, pobiegła do pałacu, ażeby



spojrzeć, jak śpi jej córka. Patrzy zdaleka, kołyska stoi, jak stała i córka jest w kołysce, ale brak jej gwiazdki na czole. Królowę dreszcz przeszedł. Ale wkrótce przestraszył jej minął: królewna we śnie przyłożyła rączkę do czoła i gwiazdkę rączką zakryła. Ciężar spadł z serca królowej, westchnęła z ulgą, przeżegnała się i rzekła:

— Ach, Boże i Panie, jakżem się przeleżała.

Powolutku odjęła rączkę dziecka od gwiazdki i ją wpatrywać się w królewnę; usteczka miała nieco rozchylone i oddychała tak, jak oddychają kwiatki; oczki zamknięte, a gwiazdka na czołku rozlewa wkoło żywe brylantowe ognie.

Całą noc nie spała królowa, wpatrując się ciągle w królewnę, dopiero nad ranem zasnęła, ale obudziła się wkrótce: gwarno zrobiło się przed pałacem — zjechało się mnóstwo ludzi radzić się praw, spisanych w złotej księdze:

— Ach, ci ludzie, ci ludzie! Uprzykrzyli się już, doprawdy! Nie mogłoby to żyć porządnie, bez przepisów! A tu pokazuj im ciągle, tłumacz i tłumacz. A są i tacy, że tylko co włożyło mu się, jak łopata, on zaś wychodzi i zaraz zapomina. Mnie się zdrzemnąć nie dadzą, a cóż dopiero królowi!

Usłyszał król te słowa królowej i mówi jej:

— Słuchaj, królowo! Ty możesz spać, ile ci się spodoba; jeżeli ci ktoś od frontu przeszkadza, to przenieś się w głąb pałacu, za sto drzwi bodaj; ale na lud mi się nie gniewaj, gdy po prawo przy-

chodzi ; na tom ja król, ażeby tłumaczyć, co stoi w prawie, gdy komu w głowie tak ciemno, jak w izbie nocą, w zimie bez światła. Król nie może długo sypiać, bo gdyby spał, to patrząc nań, całe królestwo rozespiałoby się niebawem i aniby pól nie zorano, ani ziarna nie zasiano i byłoby pozdychało i nietylko nie byłoby aksamitu czy sukna, ale nawet łyka w królestwie. Takie byłyby skutki. Pamiętaj o tem.

Królowa zamilkła, a sen ją po tych słowach odbiegł zupełnie. Wzięła się do jakiejś robótki kobiecej. Pracuje, a w myśli ciągle się jej roją widzenia nocne — owa gwiazda, co stała przed nią, mówiła do niej i zgasła potem. „Co to ma znaczyć ta jej mowa? Poco przychodziła do mnie? Skąd usłyszała to, com ja mówiła? Czyż gwiazdy słyszą? I co im do nas? A może na świecie wszystko jedno drugiemu musi służyć za pomoc i za naukę? A może Pan Bóg zsyła nam takie mary, ażeby poskromić pychę naszą, ażebyśmy mniej zarozumiali byli?“

Tak myślała królowa, myślała, ale nie domyśliła się niczego ; lecz serce zaczęło jej bić coraz niespokojniej. Poszła tedy do astronoma, co czyta w gwiazdach, ażeby jej wytłumaczył to widzenie nocne. Astronom, wyszukany w głębi lasu,abrał ze sobą różnych kul, tablic, retort, cyrkli i udał się do zamku.

Królowa wyszła doń aż na ganek, a on zbliża się i pyta :

— Czego żądasz, dziecko drogie? (Wydała mu się dzieckiem).

— Jam już nie dziecko, — odparła niezadowolona, — sama już mam trzynaścioro dzieci.

— No to dobrze, dobrze. A czego chcesz ode mnie? Mów prędzej, bo na noc muszę wracać do lasu i patrzeć na gwiazdy; u was tak duszno.

Królowa prosiła go, ażeby jej wytłumaczył, co oznacza gwiazda, która schodziła z nieba i jak rozumieć to, co mówiła.

— Niema takich gwiazd, coby z nieba schodziły, — rzekł jej starzec, — a takich, któreby rozmawiały z ludźmi tem bardziej! Bądź zdrowa!

— Ależ, ojczulku, wstrzymaj się, spojrzij w swoje kule i retorty, a może zobaczysz w nich taką gwiazdę.

— Niema takich gwiazd wcale. A po próżnicy patrzeć nie będę.

Odszedł. Królowa zaczęła płakać i długo płakała.

Dowiedziały się o jej trosce znachorki. A wiadomo, jak one zręcznie bałamuca ludzi. Dużo z nich bywało u królowej. Dużo pobrało u niej pieniędzy, ale sensu w ich radach za grosza nie było. Jedna chytrzejsza od innych, mówi do niej:

— Ja ci wytłumaczę, królowo, co mówiła gwiazda, która zeszła do ciebie z nieba. To, widzisz, ma oznaczać, że twoich synów, dwunastu braci, opanowała zazdrość po narodzeniu się siostry; oni się boją, że wy jej oddacie królestwo, a dla nich nic nie będzie i chcą ją zgubić; więc niby dla tej



przyczyny gwiazda zgaśnie. Wypędźcie ich od siebie, bo będzie źle.

Złękła się królowa okrutnie i opowiedziała wszystko królowi. Król zamyślił się głęboko, a potem rzekł:

— Zaopatrzymy synów na długie lata we wszystko, co im potrzeba, damy im ubrania, chleba i broni wszelkiej — i niech sobie idą z Bogiem, gdzie im się spodoba, a potem zobaczymy, co będzie, jak córka wyrośnie.

Zrobili synom wyprawę, pożegnali ich i królewicze poszli szukać szczęścia. Król z królową bardzo smutni przychodzą, po ich odejściu, do komnaty, w której leżała złota księga; na ich widok różga, jak nie skoczy, jak nie zacznie prać!

— Ach ty taka owaka! Czyś oszalała! — krzyknął król.

Zbiegli się słudzy, schwycili ją za oba końce, zaprowadzili w podziemia, do ciemnego sklepu i zawalili wejście kamieniami.

Król z królową żyją i tęsknią; chcieli zawrócić synów z drogi, ale gdzie ich szukać, nawet niema się kogo zapytać, bo nikt nie widział, jak odchodzili.

A tu interesy zaczęły się okropnie psuć i pogarszać. Wszystko wyschło dokoła, opustoszało, jak po pożodze; drzewa stoją gołe, robactwo je toczy, o kwiatach niema nawet mowy; dawniej biegł wesóły i figlarny strumień przez ogród, a dziś wody ledwo na pokazanie; niema ani ptasich śpiewów, ani szmeru wiatru, wszędzie cisza martwa; tylko

w piwnicy coraz to głośniej hałasuje różga i coraz dosadniej łomocze o głązy więzienne.

Przez ten czas wyrosła córą królewska na cudne dziewczę, łagodne, dobre, rozumne i piękne, że się napatrzeć trudno; i gwiazda z nią wyrosła i zrobiła się taka sama jak ta, co przed świtem, zrana, tak żywo i jasno świeci i ludzi wzywa do roboty.

Tylko królewna niema się ani z czem, ani z kim bawić; wychodzi sama do spichrza — złota leżą góry; idzie do drugiego — brylanty całemi stosami leżą na podłodze; dalej znowu jakieś cenne kamienie; tam tyle ubrania, że całe miasto mogłoby się przyodziać. Ale cóż, kiedy tych wszystkich skarbów niema z kim dzielić, ani komu pokazać. I z każdym dniem królewna staje się smutniejszą i smutniejszą.

Widzi, że matka jej często odwiedza jedną z komnat, długo tam bawi i wraca spłakana.

— Czego płaczesz, mateczko? — spytała raz królewna.

— Tak sobie.

— Powiedz — będziemy płakały razem; przyjemniej ci będzie.

Matka zaprowadziła ją do owej komnaty i pokazała — dwanaście łóżek, na nich dwanaście par butów safjanowych, złotem szytych, dwanaście koszul haftowanych, czapek, kaftanów aksamitnych — wszystkiego, wszystkiego po tuzinie; pokazała jej to królowa i runęła na ziemię; a łzy z jej oczu

biegną jak dwa potoki i szepczą o strasznym smutku i drążą podłogę kamienną.

Złękła się królowna.

— Co to znaczy, mamó?

— To znaczy, że masz dwunaštu braci, dwunastu naszych synów, dwanaście jasnych miesięcy.

— Gdzież się oni podzieli, mateczko?

Królowa rozpląkała się; ciężko jej było opowiadać, jednakże opowiedziała.

Po wysłuchaniu opowiadania, królowna klasnęła w dłonie i podskoczyła z radości:

— Baliście się, że oni mnie zabiją? Nie bójcie się, nie zabiją mnie za nic! To wam się tylko tak zdawało ze strachu. Zaco mieliby mnie zabić? Nie, ja odz szukam braci; niech rządzą państwem, a ja będę sobie żyła wesoło, stroić się będę, bawić się, szyc czasami, haftować, na święto upiekę czasem ciasta, lub coś bardzo smacznego. Braciom nie przeszkodzę; czy dużo mi potrzeba? Ja ich odnajdę, mówię, że odnajdę; zobaczycie, że wam będzie weselej, a mnie tem bardziej. Pozwólcie mi pójść ich odszukać.

Królowa naradziła się z królem i córce dali żądane pozwolenie. Otrzymała wielką świtę, karety, kołymagi, tielegi — na jakie dziesięć kilometrów!

Wszystkiego jej nakładli — i chleba, i mięsa, i odzieży, i wszelkich kosztowności.

Królowna patrzy i śmieje się:

— Naco mi tyle ciężaru?

Pożegnała się z ojcem i z matką; skłoniła



się im do ziemi, a i samej ziemi skłoniła się na cztery strony i puściła się w drogę. Uprzykrzyło jej się wkrótce jechać z takim ogonem powozów, karet, tieleg, konie rżą, ludzie zbiegają się ze wszystkich stron na gapia; kurz i mgła na drodze, jechać trzeba przeważnie stępa.

Przyjechawszy dosyć daleko, kazała służbie stanąć na jednym miejscu w polu i konie nakarmić, a sama oświadczyła, że pójdzie na grzyby; poszła coraz dalej i dalej, aż uciekła tak, że jej nie można było odnaleźć. Co prawda, nie bardzo jej szukano. Stoją sobie dzień, tydzień, drugi i wciąż czekają na rozkaz, kiedy i gdzie jechać; na koniec zrozumieli, że królowna widocznie nie wróci, że przepadła, a może uciekła od ojca i matki — a co im do tego? Oto jeden wraca do króla i królowej, płacze, łka i ażeby zgubić kolegów, którzy rozszarpali wszystko, co stanowiło własność królowej, a jemu nic nie dali, opowiedział, że zabili córę królewską, że on jej bronił, ale oni go prze-mogli i o mało samego nie zamordowali.

Usłyszawszy to wszystko, król i królowa zaczęli tak rozpaczać, że o mało nie pomarli z bólu; przestali jeść i pić i tylko płaczą i płaczą; a kłamcę hojnie wynagrodzili pieniędzmi.

Jednakże córka królewska nie przepadła. Szła ciągle — z państwa do państwa, z królestwa do królestwa; niema braci nigdzie. Nareszcie przychodzi do ziemi głuchej i ciemnej; ludzie są niby, mają głowę i ręce i nogi, ale głosu nie mają; na

niebie słońce nie wschodzi i ani jedna gwiazdka nie świeci; włączą się pociemku, potracają się wzajem głowami, padają w rowy, klną, biją się, robią wszystko inaczej, niż potrzeba. O nauce — gdzież może być mowa pociemku! A bez nauki — ciemność jeszcze większa; w głowie nie masz jasności Bożej; a serce jak śmietnik, każdego brudu znajdziesz tam niemało! Cała rozmowa polega u nich na zwadzie, na błaganiach, na kłótniach!

O, gdzie niema słowa Bożego, tam człowiek człowiekowi nie powie dobrego słowa!

Trwoga zdjęła królowną, ale coś jej szeptało, że tu w tej ciemności są gdzieś — jej bracia. Idzie pewnego razu, gwiazdka oświeca jej drogę z czoła; znużona zapagnęła spoczynku w olbrzymim lesie; widzi — kamienie stoją rzędem, jak rodzone i zda się, tulą się wzajem do siebie; wkoło nich trawka, kwiaty, a nieopodal strumyk żywy, przebiega i świergoce. Siadła królowna, zamyśliła się, myślała długo i serce się w niej rozgrzało i żal po braciach tak ją zaczął dręczyć, że łzy jej trysnęły prosto na kamienie. I oto kamienie drgnęły nagle, głowy im się zaokrągliły, zaświeciły oczy, twarze przybrały zupełnie ludzki wyraz, ręce i nogi jęły się poruszać, — spojrzeli po sobie i jęli się całować jeden drugiego, jak po długiej, bolesnej rozłące; potem wszyscy przypadli do siostry królowny i również jęli całować i ścisnąć. Wtedy poznała królowna, że to byli jej bracia, a oni poznali ją po gwiazdce na czole i po łzach gorących, któremi przywróciła im życie.



A skamienieli oni ze strachu, że zaszli do ziemi martwej; i gorzko im było stać tak — bez wyrazu ludzkiego, bez języka, bez oczu, bez ruchu, z troską w duszy, z myślą bez wyjścia. Ale teraz wszystko minęło. Wszyscy zadowoleni i dalejże, co żywo, do swojej ziemi. Królowna z gwiazdą na czele, a oni szeregiem za nią. Trzynaćście dni i nocy biegli bez jadła, bez napoju, bez spania, bez wypoczynku, nie zatrzymując się ani na chwilę; na koniec zdała coś zajaśniało, jak niebo o świcie. Jęli biec, co sił starczyło i nagle wybiegli z ciemnego królestwa i znaleźli się na prześlicznej łące; kwiaty, drzewa, zieloność, i słońce, i owoce, i woda, i ryby w wodzie—wszystko tam było, co sercu miłe. Rzucili się na trawę i całowali ziemię ciepłą; potem dobrze sobie podjedli i udali się prosto do domu.

Nagle jedzie na ich spotkanie jakiś królewicz. Dojechawszy do nich, skłonił im się uczciwie i rzekł:

— Widzę, żeście państwo, jak i ja, dzieci królewskie i żeście znużeni daleką drogą; pozwólcie służyć sobie końmi; mam ich dużo, a drogę do waszego ojca sam wam pokażę.

Co mówiąc, oczu z królowny nie spuszczał.

— Dziękujemy bardzo, — rzekli bracia, królowna w milczeniu skinęła główką, a śliczny rumieńb okrasił jej lica. Królewicz dał znak gwizdawką złotą; hajducy zbiegli się natychmiast i sprowadzili całe stado koni. Jeden młody konik podbiegł do samej królowny, stanął przed nią i okrągiem ko-



pytkiem drapie w ziemię, jak gdyby mówił: „Ślądaj na mnie prędzej!“ Ona chwyciła go rączką za białą grzywę, wskoczyła mu na grzbiet, nóżki spuściła na bok, ściągnęła uzdę, wydała cienki okrzyk i pocwałowała galopem; bracia za nią; a królewicz, aż się poci, byleby tylko jechać przy niej; a ona uśmiecha się, rączką uderza łagodnie konika, ten zaś coraz to skoczy i królewicza kurzem osypie.

I oto docwałowali do domu rodziców. Ach, jakże wszystko zagłuchło, zapleśniało, sposepniało! Ojciec i matka słyszą oddawna niesłyszany tętent i śmiech i wesołe okrzyki. Zerwali się, wybiegli na ganek, za bramę: za parkan—widzą—pędzą rycerze. Poznali dzieci, wyciągnęli do nich ręce i płaczą i modlą się i proszą o przebaczenie...

I radość zapanowała ogólna. Cieszy się i królewicz. Zapytał się królowny, czy wyjdzie za niego zamąż?

— Wyjdę! — odrzekła. Poprosili o błogosławieństwo rodziców i pobrali się.

Rozjaśniło się teraz na duszy starego króla. Przypomniat sobie znowu o prawach, poszedł, odszukał złote tablice, połą wytarł je z kurzu, zaczął czytać—rozumie; wziął do rąk wskazówkę i zaczął zwoływać ludzi do słuchania praw; ale cały naród bez praw zamienił się już w bydło i gady; ryczą, mruczą, syczą, kraczą, boją się praw — odwykli; jednakże, stopniowo zaczęli się zbierać i potrochu zmieniać się na ludzi, uczyć się, pracować, pomagać jeden drugiemu, odwiedzać się wzajem, bywać

na kazaniu w kościele, słowem — żyć po ludzku.

Poprawiło się w państwie. Różga w podziemiu stukać przestała. Król sam udał się po nią, z wielkimi honorami wyniósł ją stamtąd i umieścił na widoku.

Król potem pozenił wszystkich synów, najstarszemu rządy zostawił, jeździł do córki z matką w odwiedziny i ludowi przywoził podarki; co tylko mądrego tam spostrzeże, to zaraz urządza w swoim państwie.

I długo trwało jego królestwo — tak z pięćset milionów lat i wszystkim ludziom żyło się tam wyśmienicie!

---

## O. Bajki.

### TRZY PIEŚNI.

Piękny jest step ukraiński; byłem w tym stepie; obszar niezmierny, trawa po pas i kwiaty. Słońce południa zalewało go żarem. Pasły się na nim nieprzejrzone stada koni, wołów i owiec; z białych chat, z pośród grusz, wisien, jabłoni, orzeszyn i czereśni, wzbijał się dymek.

Naród tam śpiewny, ale pieśni jego są pełne smutku i zadumy.

Trzy pieśni osobliwie zapadły mi w duszę: jedna pieśń — jak szept suchej trawy; druga — jak krzyk rzewnej kukułki; trzecia — jak jęk fali morskiej przy brzegu skalistym.

Historja tych pieśni jest taka:

Stał na stepie maleńki, szczęśliwy chutorek; żyła w nim matka-kozaczka z trzema synami. Jeden był żonaty, drugi miał narzeczoną, a trzeci, najmłodszy, najbardziej cenił złotą wolność.

Wszyscy byli zuchy, silni, czarnobrewi, kozackie dusze; i zapragnęli wszyscy rozwinąć swoją moc kozacką, powalczyć za wiarę swoją, zestrząszyć



wrogów, izby nie przychodzili deptać im stepu ojczystego swojemi końmi, palić im chat, trzebić im sadów, rościć krwią ich pól, porywać im w niewolę żon, sióstr i matek i urągać ich osiwiiałym starcom.

Jeden brat poszedł na wschód, drugi na zachód, a trzeci siadł w łódkę, bystrą czajkę i morzem popłynął na południe.

Gdy odjeżdżali, matka zatrzymywała im konie, chwyciła za uzdy, wlokła się po ziemi, chwytając za ich srebrne strzemiona; żona zwisała na szyi swojego męża i głośno płakała; narzeczona w milczeniu, z tęsknotą, patrzyła zdala na odjeżdżającego ulubieńca. Błagały ich wszystkie, ażeby nie szli na wojnę, bo na wojnie ludzie nie biją się na życie, lecz na śmierć; wojna nie pszenica, jej kłosa są z kul ołowionych; nie kwieciami lecz głowami zuchów zaściela ziemię; wojna rodzi nie pieśni weselne, nie chorowadne lecz pogrzebowe; wojna to okrutnica, za biedą ludzką patrzy jedynie.

— Cóż z tego? — mówili bracia-kozacy, — niech nas pozabijają kule wraże, dzidy i szable, niech legniem na obcej ziemi — sława kozacza nie umrze, nie zginie! Ale nie, nas nie pokonają: my pokonamy i nawieziemy złota, płócien i jedwabów, albo czegoś jeszcze droższego.

— Naco nam złoto, naco nam jedwabie? — mówiły matka, żona i kochanka, — wyście dla nas drożsi, drożsi od światła Bożego, drożsi nad życie; wyście nam mili, jak ojczyzna, jak wiara, jak wolność!

Słuchali bracia kozacy, słuchali, milcząc, po-  
sepnie; najmłodszy miał nawet łzę w oku, ale  
otarł ją rękawem, co żywo. Słuchali kozacy, ale nie  
posłuchali; czule pożegnali krewnych, mignęli na  
siebie i rozjechali się w różne strony.

Z początku słyhać było, jak brzęczały uzdy;  
potem, jak tętniały kopyta; potem nic słyhać nie  
było i tylko czerniały ponad wysoką trawą stepową  
czapki na bakier, ale wnet i czapek nie było wi-  
dać, a jeźdźcy jakby utonęli w trawie, ona zaś,  
jak zielone morze kołysała się, igrając na wietrze.

Poszli do domu — matka, żona i kochanka i  
długo myślą, długo tęsknią, żona po mężu, narze-  
czona po narzeczonym, matka po wszystkich, a naj-  
bardziej po najmłodszym; niechby choć on był  
został na pociechę jej starości. Ale stało się, a co  
się stało to przepadło.

Nie poszcęściło się naszym braciom kozakom;  
nie przywieźli oni ani dźwięcznych dukatów, ani  
drogich sukien i ubiorów, ani głów swoich nie przy-  
wieźli na Ukrainę.

Bił się jeden brat i pobił wielu bisurmanów,  
ale się bardzo zmęczył, znużył, odjechał na szczerę  
pole, położył się na trawie, konia puścił wolno,  
a sam usnął. Chodzi koń, skubie trawę, a sam co-  
raz to spojrzy na kozaka. Śpi kozak dzień, śpi  
drugi; ta, niechże śpi sobie! Koń chodzi i patrzy.  
Z wyciem, jak szarańcza pędzą po stepie Tatarzy,  
Koń biegnie do kozaka i rzy i kopytem bije o zie-  
mię i za świtkę zębami chwyta. „Wstawaj, kozaczek!

Niedola nas ściga, najechała wraża tatarwa".  
A kozak śpi. Zasnął mocno: snąć siły w boju zatracił; nie słyszy ani rżenia, ani tętentu kopyt.

Najechali Tatarzy, odrąbali dzielną głowę, pokrajali w kawałki ciało młodzieckie i rozrzucili po stepie; schwytali konia, okiełznali i siadł na niego pohany Tatarzyn i jął go tłuc nahajem po żebrach. Koń chrapnął, wierzgnął, ale co począć? Uległ. A biedny kozak, jego pan, tak i przepadł bez krzyża, bez mogiły, bez modlitwy nadgrobnej.

Drugi brat bił się z Lachami — jeden przeciwko setce. Już ich ośmdziesięciu legło na miejscu, już tylko dwudziestu zostało. Zostały, oczywiście, same zuchy; słabsi, płochliwsi dawno już zwaleni. Wstyd im walczyć z jednym. Oto Lach — zuch, młodzieniec tęgi i dzielny, wyjeżdża na czoło innych i rzecze: „Słuchaj kozacze, bij się ze mną, jeden na jednego; kto zwycięży, temu sława; kto będzie zabity — i temu także; twoja głowa dobra, a i moja warta coś nie coś“.

— Spróbujmy, — odpowie kozak, — od ciebie zacznę się dziewiąty dziesiątek; oto już ośmdziesiąt waszych leży na polu.

I jeśli walczyć. Ale przechwalił się kozak, rozgorączkował się okrutnie, ale gorączka to nie siła; a siły już zatracił. Zabił go Lach tedy i choć to rzadko w owe czasy bywało, nie urągał nad nim, lecz uczciwie kazał go w ziemi zakopać i krzyż na grobie postawić. Konia mu wziął, lecz nie bezczęścił go nahajem,



Trzeci brat bił się z Turkami, podjeżdżał do samego Carogrodu i dostał się do niewoli. Turcy jęli go męczyć: zaprzyj się wiary — mówią, a zrobimy cię jakimś tam księciem i będziesz nam wodziem, gdy pójdziemy na wojnę.

— Ależ wy pójdziecie walczyć z nami, na naszej ziemi.

— Naturalnie z wami i na waszej ziemi.

— I naszą krew chrześcijańską pić będziecie!

— Cóż z tego, toć to nam nie pierwszozna.

— I nasze cerkwie święte pohańbiać będziecie?

— Porobimy z nich meczety.

— Nie, bracia moi; źleście trafili; pokrajcie mnie na kawały, a nie będę wam sługą, ani jakimś tam waszym effendim.

Oni go znowu męczą; cierpi i tyle, jak gdyby nigdy nic; męczyli, męczyli, nic nie wskórali.

— Oddaj nam krzyż swój, — mówią.

— Nie oddam krzyża — odpowie kozak, — a weźmiecie gwałtem, to i cóż? Weźcie. Na siłę niema środka; bij się, dopóki moc jest, a nie masz mocy — to cierp. Ja też będę cierpiał.

— A czy bez krzyża zapomnisz swojej wiary?

— Nie, nie zapomnę. Krzyż na piersi, a wiara w sercu przecie, nikt jej stamtąd nie wydrze, gdy człowiek sam nie da.

A jednak krzyż zdjęli z niego. I długo był w niewoli, lat ze czterdzieści i już mowy swojej rodzinnej zaczynał zapominać; nie miał z kim rozmawiać; zaczynał mówić sam ze sobą, ale jakoś

to było niezręcznie, ciągle jedno w kółko; i zrobiło mu się bardzo smutno, Zaczął milczeć i z każdym dniem, z każdą nocą, wyrazy ruskie wypadały mu z pamięci, a natomiast tureckie pchały mu się do ucha.

Używali go Turcy do różnych robót — to do objeżdżania koni, to do kucia, to do ostrzenia dzid i hartowania szabel; nareszcie umieścili go w pasiece przy pszczołach i do sadzenia drzew, czy do obcinania winogron, sam nie wiem.

Ze trzy lata spędził tak w ogrodzie i często tęsknota go brała. Pracuje i śpiewa pieśni, pieśni stepowe, cudne pieśni małoruskie, gorącym źródłem z serca bijące pieśni. I tak się niekiedy rozśpiewa, że po całym sadzie i za sadem, na ulicy słychać. A sad był wielki, sułtański.

Sułtan ma, jak wiadomo, mnóstwo żon, które skupują dlań w różnych stronach świata. Niektóre bardzo tęsknią w niewoli; bozymane są pod kluczem a wstrętnei wartownicy pilnują ich: — „pilnuj“, mówią takiemu niewolnikowi, bo gardłem odpowiesz! To też pilnują i z oka nie spuszcza, jak w dzień, tak i w nocy. Ale na niewolę jest podstęp, a na zamydlenie oczu zawsze środek się znajdzie. — Za pieniądze człowiek oślepie aż miło: prawo przestaje być mu prawem, a strach strachem; za pieniądze pod nóż i pod stryczek pójdzie, myśląc sobie: nóż ześlizgnie się po gardle, nie zarżnie, sznur się przerwie; a wartownicy bardzo chciwi na

pieniądz; a przytem sami są w niewoli; więc niekiedy mają litość dla niewolników.

Otóż, jedna niewolnica tęskniła okrutnie pod kluczem, ani je, ani pije, ani drogich naszyjników, ani pierścieni nie wdziewa. Słyszy ona raz rzewną pieśń kozacką. Zatrzepotało się w niej, jak pochwycony gołąb, serce znękanе; nie rozumnie wprawdzie, co się tam mówi w słowach ruskich, ale w głosie odczuwa wielki smutek i zdaje się jej, że ten głos wychodzi z jej własnego serca. Chciałaby wyjść do sadu, przyjrzeć się bliżej, kto śpiewa tak smutnie, przysłuchać się samej, jaknajdalej od nienawistnych oczu. I woła wartownika do siebie.

— Niewolniku!

— A czego to?

— Chcesz garść złota?

— Dawaj choć dwie, przydadzą mi się.

— Nie, naprzód dosyc jednej, później — dostaniesz więcej.

— A za co dasz mi dwie garści?

— Za bagatelę — za wolne powietrze i głos.

— Dobrze, dawaj pieniądze, — otworzę ci okno i krzyknę co siły. — Odetchnij sobie, ile chcesz i słuchaj.

— Nie, pocóż się masz trudzić z otwieraniem okna i z podnoszeniem zasłony? A i drzeć się na całe gardło także nie wypada. Lepiej pójdę do sadu i posłucham pieśni tamtego oto niewolnika. Uważasz?

— A jeśli uciekniesz?



— Co? Czy nie mam zdrowych zmysłów? Uciekać od szczęścia takiego? Wszak dziś jutro — i będę sułtanką. Wtedy zobaczysz, czem ty będziesz!

— Czem?

— Czem zechcesz!

— Ja bym chciał dostać się do kuchni! Tam bym się najadł do syta.

— Dobrze, dobrze; obsadzę cię w kuchni i każę ci napiec ogromnych pierogów, a tymczasem masz złoto.

Wyszło dziewczę do sadu, zbliża się do kozaka i mówi po turecku: „Pięknie śpiewasz, musisz mieć smutek na sercu; i ja mam smutek; wspólny to smutek dla nas — niewoli obczyzna!”

— Tak, — odparł kozak, — niewola, jam już w niej osiwił i tak zemrę.

— Nie zemrzesz, jeżeli mnie posłuchasz.

— Co, może ożenić się z tobą?

— Nie, jaka tam żeniaczka w niewoli? Zresztą, nie wydadzą mnie za ciebie, prędzej żywcem w ziemi zakopią.

— Więc cóż?

— Ucieknijmy stąd razem,

— A złoto masz?

— Mam.

— Uciekajmy.

— A jeżeli nas złapią?

— Ha, to pomęczą, potem mnie głowę odgrąbiają, a ciebie w worek i do wody.

Dziewczyną drgnęła, pomyślała, trochę i rzekła:

„Uciekajmy, mniejsza z tem, milsza śmierć, niż niewola“.

Przekupili wartowników, wyszli nocą na morze i mieli wsiąść do czółna. Nagle Turcy zwęszyli ucieczkę i biegną do brzegu; kindżał w zębach, w jednym ręku szabla, w drugim pistolet.

Kozak machnął wiosłami; czółno sunęło jak ptak morski; to wzbije się na falę, to z falą opada i tonie. Nie śmiano iść w pogoń za niem; ale jeden zmierzył, wypalił i trafił w dziewczynę. Ona westchnęła tylko i jak snop zwała się w morze. Kozak chciał ją pochwycić, ale bałwan go podrzucił raz, drugi i ślad dziewczyny przepadł. Kozak przeżegnał się, szepnął: „Niech ci ta fala lekką będzie!“ i jął rąbać morze wiosłami z całej siły.

Jedzie dzień, jedzie noc, jeszcze i jeszcze do-  
bę. Fale okrutnie hulają. Ale oto poczuł zapach ziemi; od brzegu wiatr idzie. Radośnie zabiło w nim serce; ale wsłuchał się w wiatr i zamyślił się — jechać czy nie jechać. Od brzegu dobiega tętent podków i brzęk broni. — „Niech tam! — pomyślał kozak, — choćby skonać wypadło, toć lepiej na ziemi ojczystej“. Podjeżdża do brzegu i widzi — dwunastu czeka nań Turków. Ale w strzelaniu był to majster taki, jakich niewielu na świecie. I akurat miał kul dwanaście. Strzeli — i Turek bęc, spada z brzegu do wody. Biję ich, biję, pobił połowę, już ćwierć została, już tylko dwóch Turków, bęc — został jeden. Kozak jął nabijać strzelbę po raz ostatni, ach Boże mój, Boże! Fala podrzuciła czół-

no; kula nie wpadła w lufę, uderzyła o brzeg czołna, podskoczyła i zabulgotała w wodzie.

Kozacze, gołąbku! Odjeżdżaj co żywo od brzegu! Żal cię okrutnie! Zabije cię Turek! Żywol! Śpiesz się! Patrz, już mierzy.

Zmierzył Turek. Ogień buchnął, — rozległ się wystrzał. Dym zasłonił łódkę; a gdy wiatr go rozwał — kozaka już w łódce nie było. Łódź, nierówno, jak chora zachwiała się i popłynęła na otwarte morze. W jednym miejscu fale zniosły ją na brzeg piaszczysty, bryznęła nań krew kozacka, a ziemia rodzinna chciwie ją wypila.

Na miejsce, gdzie w stepie runął brat pierwszy, przychodziła narzeczona, stała tam długo, że wyschła jak trawa i zamieniła się w łodygę trawy spalonej od słońca.

Na miejsce, gdzie zabito drugiego brata, przychodziła do krzyża żona i tak długo płakała, że podlewany łzami krzyż puścił korzenie i gałęzie, a ona zamieniła się w kukułkę.

Na miejsce, gdzie ziemia wypila krew trzeciego brata, przychodziła matka, — cała zamieniła się w łez potok i potok ten spłynął do morza.

I dlatego jedna pieśń małoruska szepcze smutnie jak sucha trawa, druga rzewnie zawodzi jak kukulka, trzecia jęczy jak fala morska.

## DOBRE DZIECI

Pan Bóg pogniewał się na ludzi i zesłał wiel-



ką posuchę. Zasiwy nie wzeszły i ludzie umierali z głodu, ginęło i bydło.

W pewnem państwie rządził młody król. Młode mimowoli Ignie do młodego i król ten otoczył się młodzieżą; w radzie, w wojsku — służyli sami młodzi; a ponieważ młodzi nie są na umyśle dojrzali, to i rady ich nie były dojrzałe.

Gdy nastał rok okrutny, niedojrzali doradcy poradzili królowi potopić wszystkich starców, ażeby nie objadali młodych.

I rozesłano po całym państwie rozkaz, ażeby nikt, pod karą śmierci, nie śmiał ukrywać starców.

Gońcy jeździli po całym państwie i czytali rozkaz, a napotkawszy starca, topili go bez litości.

W jednym mieście żyło trzech braci; mieli bardzo starego ojca i nie wydali go. Ukryli go pod podłogą i dzielili się z nim wszystkim, co mieli. Minęła zima, nastąpiła wiosna, a z nią czas do siewu. Ale siał nie było czem. Ziarno zjedli ludzie, a po części i myszy. Synowie przyszli do ojca na poradę, co czynić.

— Zdejmcie słomę z dachów, dzieci, wymłóćcie ją, a co zbierzecie, to zasiejcie,—poradził stary.

Synowie tak zrobili i Bóg im pobłogosławił. W tydzień niwa zazieleniała, a w dwa miesiące zboże wyrosło jak las: i żyto, i pszenica, i jęczmień. Ludzie nie mogli wyjść z podziwu. Wieść o tem poszła po całej ziemi, aż dobiegła do króla. Król kazał trzem braciom stawić się przed sobą.

— Złe będzie z nami,—mówili bracia do siebie i udali się na poradę do ojca.

— Niech co chce będzie, dziatki, a powiedzcie królowi całą prawdę. Idźcie z Bogiem.

Król przyjął ich surowo i gniewnie zapytał, jak śmieli ukryć ziarno, gdy taka masa ludu umierała z głodu.

Synowie opowiedzieli wszystko od początku do końca.

— A teraz rób, królu, z nami, co chcesz. Jesteśmy w twojej mocy.

Rozjaśniało się czoło monarsze. Kazał synom sprowadzić ojca, posadził go przy swoim tronie i do samej śmierci starca radził się go we wszystkim. Synów hojnie wynagrodził.

K O N I E C.